

SPOŁECZNA KOMISJA ZDROWIA

ZBIORY OŚRODKA KAFKA

# ZESZYTY NIEZALEŻNEJ MYŚLI LEKARSKIEJ

Numer 10

Grudzień 1986

*Numer specjalny*

Adina Blady Sz wajger

SZPITAL W GETCIE

Od Redakcji

Dr Adina Blady-Szwajger, lekarka zamieszkała obecnie w Szczecinie, zatytułowała swój tekst "Krótka historia szpitala Bersonów i Baumanów 1939-1943". Autorka załączyła spisany z pamięci wykaz współpracowników. Przy większości nazwisk znalazły się uwagi: "zginął", "rozstrzelana", "zamordowana"...

Ze względu na znaczenie historyczne i wstrząsającą wymowę dokumentu zamieszczamy tekst w całości jako numer specjalny Zeszytów.

## KRÓTKA HISTORIA SZPITALA BERSONOW I BAUMANOW /1939-1943/

## Wstęp

Wróciłam do Warszawy w grudniu 1939 r., zostawiając we Lwowie wszystko, co zabrałam ze sobą wyjeżdżając w październiku z domu. Przyszłam - przyjechałam do Warszawy w starym płaszczu, w mufce miałam jedyny "dokument", jakiś papierek z uniwersytetu. Nie pamiętam, czy dowód matrykulacji na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie czy protokół egzaminu z higieny. Chyba to ostatnie, bo przecież przywiozłam sobie do Lwowa z Warszawy zaświadczenie o asolutorium i indeks. Na tej podstawie przyjęto mnie na uniwersytet Jana Kazimierza i zezwolono na zdawanie egzaminów. /Indeks i zaświadczenie o absolutorium zostały we Lwowie w dziekanacie Wydz. Lekarskiego i nigdy ich nie odzyskałam. Odtwarzałam absolutorium po wojnie w Łodzi dzięki obecności tam profesorów Venuleta i Pruszczyńskiego, którzy pamiętali swoich studentów z czasów Uniwersytetu Warszawskiego/.

Sądząc jednak z tego, że nic ze sobą nie zabrałam /pierwsza, ale nie ostatnia utrata dobytku/, miałam chyba zamiar wrócić do Lwowa. Po upływie blisko 50 lat nie pamiętam, co zaważyło na nagłej decyzji wyjazdu - w ciągu paru godzin podjętej - czy przeciek wiadomości o wywiezieniu tych wszystkich, którzy jak ja w październiku 39 r. "optowali za Polskę", czy strach o mamę pozostawioną w Warszawie. Pamiętam dobrze tylko uczucie bezgranicznego przerażenia, że nigdy nie wrócę do Warszawy, do Polski - Lwów i Białystok wydawały mi się obczyzną, to było za granicą, nie mogłam sobie wyobrazić tam dalszego życia w odcięciu od domu, mamy i kraju. Myślę, że zadziałało wszystko razem, ale chyba zamierzałam pojechać - ściągnąć mamę i po przeczekaniu okresu wywózki "bieżeńców" - wrócić.

Dlatego też został w Białymstoku Stefan, który miał czekać na mój powrót lub wiadomość, że ma przyjechać do Warszawy. Uważaliśmy, że dla mnie jako kobiety ta podróż w obie strony jest bezpieczniejsza niż dla niego.

Oczywiście okazało się, że powrót do Lwowa był już niemożliwy - a Stefan wrócił do Warszawy kilka dni po mnie. Wydawało się wtedy, że zrobiliśmy wspaniałe - moich kolegów wywieziono, wielu nie wróciło nigdy.

Ale i nas nie czekało nic lepszego.

Powrót trwał 5 dni. Mówiono, że na Bugu strzelają - lepiej iść polami koło Małkini. Więc poszłam i od razu zostałam złapana. Tłumaczyłam się, że idę po matkę - nic to oczywiście nikogo nie obchodziło i zamknięto mnie w chlewie. Zupełnie nie pamiętam, w jaki sposób uciekłam z tego pachnącego gnojem pomieszczenia, ale wiem, że następnego dnia znów znalazłam się na wolności gdzieś koło stacji Czeremcha. Byłam głodna, brudna, niewyspana i zmarznięta. Nigdy nie dowiedziałam się, kim był człowiek, który mi pomógł. Nie wiem nawet, jak się nazywał. Kazał mi udawać jego żonę i nie odzywać się po polsku, bo Rusini /a mieszkańcy Czeremchy byli Rusinami/ Polaków nie kochają i natychmiast wydają w ręce posterunków.

Weszliśmy do jakiegoś domu. Mój towarzysz mówił biegle po rusku. Nie wiem, co im opowiedział, dość, że dostaliśmy - ja jajecznicę, miskę wody do mycia twarzy i rąk, łóżko przykryte czerwoną, kraciastą pierzyną. W tym łóżku przespaliśmy noc oboje pod tą samą pierzyną i nawet nie wpadło mi na myśl, że leżę w łóżku /co prawda prawie ubrana - pluskwy/ z obcym mężczyzną i w ogóle z mężczyzną. Rano wypiliśmy herbatę z kawałkiem chleba i mój towarzysz odprowadził mnie do lasu, gdzie uciekinierzy czekali na zapadnięcie zmroku. Tam pożegnaliśmy się - a ja umówiłam się z grupą przemytników, że będę szła razem z nimi. Był to jedyny sposób przejścia zielonej granicy, bo oni, chodząc stale, znali drogę i orientowali się w zwyczajach straży. Ten dzień przesiedziałam na skraju lasu. Jeść mi się chciało. W pewnej chwili zobaczyłam, że ludzie gromadzą się koło okutanej w koczach baby - sprzedawała zupę w brudnych kubkach, z których jadło się kolejno. Bardzo mi smakowało. Corzej było ze znalezieniem tzw. domku z serduszkami. Wreszcie nos zaprowadził mnie we właściwe miejsce. Niewiele brakowało, a moja podróż

przez zieloną granicę skończyłaby się na utonięciu w g... Ale wyszłam z tego cała, tyle że zgubiłam rękawiczkę - trudno było po nią sięgnąć. No, ale miałam mufkę.

Wreszcie zapadła noc i zaczęliśmy iść przed siebie. Oczywiście moi "towarzysze podróży" gnali przed siebie nie oglądając się na mnie. Zgubiłam ich dość szybko i znalazłam się sama nocą w polu. Gdzieś z boku słyszałam strzały. Bałam się diabelnie, ale uparcie szłam przed siebie. W pewnej chwili wpadłam do strumienia? Wielkiej kałuży? Nie wiem. Cienki lód chrupnął pod nogą i zapadłam się w wodę prawie po kolaną. Wybrnęłam z wody, ale na nogach utworzyły mi się natychmiast dodatkowe buty - lodowe. Jakoś to się stało, że nie odmroziłam nóg - chyba przez ten uparty, nieprzerwany bieg naprzód.

Kiedy słońce weszło - stwierdziłam, że jestem po "właściwej" stronie granicy. Niemieckie napisy - plakaty, jakieś "bekantmachung" - wreszcie i mundury - żołnierze niemieccy. Byłam w Polsce...

Do Warszawy przyjechałam pociągiem i właściwie pierwsze, co pamiętam, to droga pieszo przez Plac Zamkowy do domu. A zapamiętałam Plac Zamkowy, z którego odjeżdżałam przed dwoma miesiącami dlatego, że na rogu Miodowej zobaczyłam sklep spożywczy - piekarnię - z bułkami na wystawie. Nie miałam oczywiście pieniędzy, ale widziałam bułki... Prawdziwe...

Jak dowlokłam się na ulicę Świętojerską, nie pamiętam. Ale na podwórku spojrzęłam w okna mieszkania i zobaczyłam przerażoną twarz Mamy, która na mój widok złapała się za głowę.

- Po coś wróciła? - To było powitanie.

Ale potem była woda do mycia, jedzenie, dużo jedzenia i łóżko - własne.

Jedzenia w domu było rzeczywiście dużo. Uderzająca zmiana w obyczajach warszawiaków po Wrześniu - kupowanie na zapas?, ucieczka od pieniądza, który zresztą już prawie nie miał wartości? - a przede wszystkim - wspomnienie głodu, które zwiększało, zdawałoby się, potrzebę jedzenia i patrzenia na zapasy.

Tak rozpoczęło się moje wojenne bytowanie w Warszawie.

Stefan wrócił kilka dni po mnie, przeszedłszy nieco głódziej tę samą drogę. Nie miało już sensu utrzymywać w tajemnicy naszego małżeństwa przed jego rodzicami. Wojna zmieniła ich stosunek do przedwczesnego związku dwojga studentów. Zamieszkaliśmy więc razem w naszym domu i zanim zdecydowaliśmy, co dalej - ja rozchorowałam się. Zaczęło się od "niewirnego" bólu zęba. Okazało się, że ropień okołozębowy. Obniżenie odporności po kilku miesiącach głodowania zrobiło swoje i rozłożyłam się z ciężkim zakażeniem, z dwukrotnym cięciem ropnia itd., itd. Trwało to do końca lutego.

Wstałam z łóżka w najcięższym okresie tej pierwszej wojennej zimy. W domu zimno. W pokoju stołowym "koza" z rurą wypuszczoną przez okno; siedzieliśmy przy niej grzejąc ręce i "front". Od tyłu lodowate zimno. Możliwości utrzymania się coraz trudniejsze. Mama rozpoczęła pracę na terenie dawnej swojej szkoły powszechnej /gimnazjum spaliło się/. Otworzyła "kuchnię dziecięcą", w której nauczyciele starali się choć trochę uczyć dzieci. Nie wiem, czy były z tego jakieś pieniądze, ale Mama przynosiła do domu co dzień "przydział": blaszaną puszkę po ogórkach pełną zupy. Jedliśmy ten obiad we trójkę i to już było ułatwienie. Stefan, który musiał zatroszczyć się o byt rodziców - dwojga starych ludzi, w tym ojca po wylewie mózgowym - zaczął wyprzedawać pozostałości towaru, który został u jego ojca. Były to chemikalia, olejki aromatyczne i jakieś inne substancje, potrzebne przy produkcji surogatów żywnościowych. Nawiązał, a raczej kontynuował współpracę z firmą "Strójwas", co okazało się w przyszłości opatrnościowe dla wielu ludzi. Pomagał mu Mietek, starszy od nas jego brat, który zdążył rok przed wojną uzyskać dyplom lekarza.

Mietek szybko zatrudnił się w szpitalu na Czystem i zaczął namawiać mnie, aby postarać się o pracę stażysty w tymże szpitalu. - Tak, ale ja marzyłam o pediatrii.

Z pomocą przyszła dr Kleniecowa, lekarz szkolny "Jehudyi", szkoły mamy. Córka jej, młodsza ode mnie o kilka lat, Mirka, pracowała jako pielęgniarzka przyuczona w szpitalu dziecięcym im. Bersonów i Baumanów.

- Chcesz tam pracować?

- Bardzo chcę.

## Nadludzka medycyna

### Szpital na Siennej

11 marca 1940 r. zgłosiłam się do Szpitala im. Bersonów i Baumanów w Warszawie na ul. Siennej do Naczelnej Lekarzki dr Anny Braude-Hellerowej. Znałam już trochę tę niską, czarnowłosą panią mówiącą głębokim altem i poruszającą się ze zręcznością zdumiewającą przy jej tuszy.

Była matką mego bliskiego kolegi ze studiów z tej samej grupy - Arika, a ponadto teściową mojej bliskiej przyjaciółki od lat najmłodszych, Marysi Natanblut. Pomimo tej znajomości, wchodząc do gabinetu miałam duszę na ramieniu.

Doktor Naczelną uosobiała wszystkie sny i rojenia młodej adeptki o zawodzie lekarza-pediatry. Była znanym i cenionym lekarzem, wspaniałym organizatorem, społecznikiem. Ponadto, co nie było bez znaczenia dla dziewczyny z "głową w chmurach", była postacią romantyczną. Zawsze w grubej czerni. Po śmierci synka z powodu - o ironio - nie rozpoznanego zapalenia wyrostka - nie zdjęła nigdy żałoby. Potem, już w czasach szpitalnych, powiedziała mi kiedyś, że to był największy jej grzech wobec Arika, któremu zabrała radość i bez troskę dzieciństwa. Ale to było potem. Tego dnia spojrzała znad okularów na wystraszoną dziewczynę i powiedziała tylko:

- Chce pani pracować u nas - dobrze. Przydzielam panią na oddział wewnętrzny do pomocy dr Keilson. Ale przed tym proszę zgłosić się do komisarza szpitala, dr Skonecznego. To następny gabinet.

Grzecznie podziękowałam. W drzwiach zatrzymały mnie słowa wypowiedziane zupełnie innym tonem:

- A Arik i Marysia nie wrócili...

Odwrociłam się i powiedziałam wychodząc:

- Wiem, że wrócą niedługo, pani Doktor.

To była prawda. Wrócili po dwóch tygodniach. Marysia w zaawansowanej ciąży. W gabinecie doktora Skonecznego szczupły pan w średnim wieku spojrzął na mnie sponad szkieł i fatalnym akcentem zapytał:

- Panienska chce u nas pracować? Jako praktykantka pielęgniarzka? - No cóż? Wyglądałam na 18 lat. Zaczerwieniona po uszy odpowiadałam:

- Nie, panie dyrektorze. Jestem absolwentką medycyny i mam być stażystką na oddziale wewnętrznym.

- To i topsze - proszę się zgłosić na oddział.

- Dziękuję.

Wyszłam z gabinetu myśląc - ten Niemiec jest całkiem możliwy.

Doktorze Wacku Skoneczny! Przez te wszystkie koszarne lata, kiedy byłeś nam przyjacielem, nigdy nie wróciliśmy pamięcią do tego pierwszego spotkania.

Nieżyjący już dr Wacław Skoneczny był Polakiem wychowanym i wykształconym w Niemczech. Przypuszczalnie swojej bezbłędnej znajomości języka zawdzięczał fakt, że został naszym komisarycznym dyrektorem. Nie wiem. Może przyjął volkslistę? Też nie wiem. Ale wiem, że w dziejach szpitala na Siennej był i jego piękny rozdział: "Rozdział Komisarza", który nie tylko nie przeszkadzał, ale starał się jak mógł - pomóc. A na razie ja rozpoczęłam mój malutki udział w historii nadludzkiej medycyny. W historii szpitala dziecięcego w getcie warszawskim!

Nie pamiętam, kto zaprowadził mnie na II piętro przez ten na zawsze zapamiętany hall ze schodami, które szły półokrągło w obie strony. /Kiedy po wojnie otwierano Szpital Dzieci Warszawy spotkałyśmy się u stóp tych schodów z dr Kochańską i tak stałyśmy długą chwilę milczące, bezradne wobec wspomnień/. Chyba był to Józio Ferszt - intendent. W każdym razie ubrano mnie w dwa fartuchy, jeden zapinany z przodu, na to drugi z tyłu, dano mi czepek i maskę - takie były wymagania - i weszłam na oddział. I wtedy, tego 11 marca 1940 r. to był normalny, prawidłowy oddział. Z salami przeszkłonymi, żeby pielęgniarka mogła widzieć, co się dzieje, z białymi kółeczkami przy białych ścianach i prawie normalnymi dziećmi ze zwykłymi chorobami. To przecież było jeszcze przed zamknięciem getta i te dzieci chorowały na zwykłe dziecięce choroby. Tylko może zageszczenie było trochę większe niż trzeba i było trochę trudniej z jedzeniem. Ale przecież zapisywało się normalnie niemowlętom mieszanki - 1-2-3-4 /tak wtedy było/ zakwaszone i "Dabo". I nawet tym wymagającym lepszego odżywiania dodatkowo jajka i kakao !!!/. Zwykły

szpital tylko chyba trochę lepszy od innych już wtedy, bo to był szpital z wielką tradycją, z tradycją dr. Gantza, Srebrnego, Śmiechowiczowej i wielu, wielu innych - szpital dla wszystkich dzieci bez różnicy wyznania - rzeczywiście Szpital Dzieci Warszawy.

I tego dnia poznałam Helę Keilson, z którą potem nie rozstawałam się aż do tego 22 IV 43, kiedy wygarnięto wszystkich z naszej kawiarenki na Miodowej i myśmy zostały z Marysią na ulicy bez dokumentów i pieniędzy, i nie miałyśmy niczego więcej - a przede wszystkim dachu nad głową - a Hela wraz z siostrą Marysi, Haliną, zabrane zostały na Pawiak. Halina załamana się w śledztwie i przyznała się do żydostwa - została rozstrzelana. Hela, jako Janina Małecka trzymała się do końca i została wysłana do Oświęcimia. Przeżyła obóz. Została przewieziona po wyzwoleniu do Szwecji i nie wróciła do kraju. Otrzymałam od niej tylko jeden list - potem zerwała z nami kontakt - dlaczego? Nie wiem. Ale to było dużo później.

Wtedy był pierwszy dzień naszej współpracy i pierwszy obchód. Ordynator Oddziału, dr Lichtenbaumowa była nieobecna w powodu choroby. Tak po prostu, normalnie Hela szła od łóżka do łóżka z Jurkiem Rotbalsamem - drugim asystentem i pielęgniarką oddziałową, której dyktowała zlecenia. Po raz pierwszy w życiu brałam udział w obchodzie już nie jako studentka, ale jako "p.o. lekarza".

Dostałam do niesienia historii choroby. Wiedziałam już, że będę je prowadziła pod baczным okiem Heli - wtedy dla mnie p. dr Keilson. Byłam szczęśliwa. Dumna, szczęśliwa i przepełniona entuzjazmem do tego, co otwierało się przede mną - leczenia dzieci.

Więc na początku było szczęście.

A potem wchodziłam w to wszystko coraz głębiej i szczęście zastąpiła bezradność i tylko to jedno było do końca. Że trzeba robić to, co do człowieka należy i jest się tu po to, żeby pomagać. I dlatego to była nadludzka medycyna i dlatego, chociaż to wszystko jest jak jedna rana, jest najpiękniejsze ze wszystkiego.

Zbyt późno zaczęłam pisać te wspomnienia. Stara jestem i wielu rzeczy nie pamiętam. Zresztą nigdy nie uważałam, że wiem tyle, żeby pisać historię szpitala. Ale tak mi się teraz wydaje, kiedy przeczytałam wszystkie książki, które mi wpadły w ręce o cierpieniu i męce, i o tych, co przeżyli i jak przeżyli - że trzeba powiedzieć też choć ułamkową prawdę o tych, którzy nigdy albo prawie nigdy nie zaznali wątpliwości, jak należy żyć, ani pokusy ucieczki. O tych, którzy w przeważającej większości nie przeżyli.

Więc to wszystko będzie po prostu garstką wspomnień.

Złamana igła - poznanie Tosi Goliborskiej

Wiosną 1940 r. panowała epidemia meningokokowego zapalenia opon mózgowych. Leczyło się wtedy surowicą podawaną dokonałowo. Dość szybko wyćwiczyłam się w pomocy przy nakłuciach. Należało do mnie szybkie napełnienie strzykawki surowicą /wbrew pozorom nie było to takie łatwe/, aby podsunąć ją w tym momencie, w którym skończy się upuszczanie płynu, a następnie odebranie próbówki z płynem i umieszczenie w statywie; trzymanie głowy u dziecka ze sztywnością karku i wygięcie do tyłu wymagało dużo siły i robili to mężczyźni. I pewnego dnia trzymający /nie pamiętam, kto/ nie utrzymał dziecka przy gwałtownym odgięciu do przodu i igła złamała się między wyrostkami kręgowymi.

- Dzwonź po chirurgów!!!

Telefon był na dole w hallu, a właściwie w laboratorium. Nie wiem, jak zbiegłam z II piętra. Wiem, że przez ostatnią poręcz przeskoczyłam z wysokości pół piętra i wpadłam jak burza do laboratorium.

- Dzwonić na chirurgię - igła złamała się w kręgosłupie.

Bez przepraszam, bez dzień dobry, bez przedstawienia się tej drobnej, pięknej pani w białym fartuchu, która, jak później mówiłam, "nie miała wypisane na czole, kim jest". Ale kierownik laboratorium, dr Tosia Goliborska-Gołąbowa, właścicielka laboratorium na Kredytowej, lekarz prezydenta, wielka dama, oburzyła się strasznie na "wychowanie dziewczyny", która wpadła jak szalona do jej królestwa.

I tak fatalnie zaczęła się znajomość z Tosią, która przerodziła się w wielką i piękną przyjaźń, która przetrwała wojnę, ale nie przetrwała czasu powojennego. Tosia, serdeczna i kochana podczas swego pobytu w Polsce w latach 60-tych, obraziła

się na mnie śmiertelnie za to, że nie udało mi się wysłać jej wazonu glinianego, który tu kupiła. Wazon, niestety, stłukł się przy pakowaniu. Nie udało mi się jej przebłagać i nawet nie wie o tym, że w moim stosunku do niej nic się nie zmieniło, że wspomnienie o niej, żyjącej gdzieś w Australii, jest wspomnieniem o tej, która tak pięknie "nadawała ton" naszemu bytowaniu w szpitalu i pomagała nam utrzymać się zawsze na poziomie człowieka, że nigdy nie zapomniałam i nie zapomnę Tosi tego, że tego strasznego dnia 30 lipca 1942 r., kiedy wiedziałam już na pewno, że matka moja, zabrana poprzedniego dnia, została wywieziona - Tosia zaryzykowała przyjście do getta na ten jeden dzień po to, żeby być przy mnie. I tego dnia, kiedy przez okna szpitala na Żelaznej patrzyliśmy na tragiczny pochód wyprowadzanych na Umschlagplatz, stała przy mnie i trzymała mnie za rękę.

Ale w tym czasie nie było już szpitala na Siennej. Nie było już całego małego getta, do którego chodziło się mostem przez Chłodną. I był już początek końca.

### Zamknięcie

A tymczasem jesteśmy jeszcze w tym cudownym szpitalu, w którym od dr Naczelnej poprzez wszystkich lekarzy, pielęgniarki i całą administrację aż do najskromniejszej pomocy pielęgniarskiej czy salowej - dla wszystkich najważniejsze były dzieci. Najpierw te "normalnie" chore, których czasem nie udawało się uratować, bo medycyna wtedy mogła jeszcze mniej niż dzisiaj. A potem te obrzęknięte z głodu, rozdęte karykaturalnie ciała, do których jak patyczki do nieudanego pajacyka przychepione były chudziutki rączki i nóżki. Te czasem udawało się uratować - glukocza z cebionem, odrobiną jajka w proszku, 1/2 dkg margaryny, resztką rozwodzonego mleka. Ale to też jeszcze nie nadeszło. Wicsna 40 roku pozwalała nawet na nadzieję. Nadzieję na przetrwanie - "bo przecież to się kiedyś musi skończyć" i na życie takie, żeby potem nie trzeba się było wstydzić.

Moje "wejście" w szpital, tzn. pod podszwękę tego wszystkiego, co miało się tam rozegrać, zaczęło się od zamknięcia szpitala pod pozorem rzekomego zakażenia wewnątrzszpitalnego dżumą plamistą przez władze. Cały personel wraz z chorymi zamknięty został w szpitalu, przed bramą którego stał granatowy policjant. Nie wolno było wejść ani wyjść. Nocowaliśmy pokotem w wielkiej sali bibliotecznej na parterze pod portretami fundatorów szpitala, Bersonów i Baumanów. Jadaliśmy w stolówce obiady składające się z talerza zacierki na wodzie, kapaliśmy się w łazience w hallu, tzw. łazience na katafalku. I staliśmy się jedną rodziną. Koszmarne posunięcie władz niemieckich - zamknięcie ludzi w kwarantannie, oddzielenie ich od rodzin i domów, narażenie na głód i niewygody zaowocowało zespoleniem całego personelu w jedność, której nic nie mogło już potem rozzerwać.

I w tym zamknięciu chyba powstała nasza grupa przyjaciół, do której przygarnięto tak nic nie znaczącą osobę, jaką była młoda stażystka. Były w tej grupie obie siostry Keilson: Hela i Dola - przełożona szpitala, "bohaterska pielęgniarka", nazywana tak dlatego, że przy każdym ciężkim przypadku dyżurowała osobiście, bez oglądania się na godziny pracy, zaś zdrowiejących zostawiała innym pracownikom. Dola Keilson, rozstrzelana w Otwocku w 1943 r. właśnie jako bohaterska pielęgniarka. Piękna, władcza, uwodzicielska z kokiem miedzianych włosów, rzuciła bezpieczne schronienie po "aryjskiej stronie", by pielęgnować swego dawno rozwiedzonego męża, umierającego na gruźlicę. Zadenuncjowana przez jakąś swolocz, zabrana na gestapo w Otwocku, nie załamano się do końca. Zapytana, czy wie, że pielęgnowała Żyda, odpowiedziała, że jest pielęgniarką i opiekowała się chorym człowiekiem.

- A czy opiekowałaś się również Niemcem?

- Gdyby był człowiekiem - tak...

Następnie Tosia Goliborska, która wyrzucona ze swego mieszkania na Kredytowej mieszkała w pokoju przy laboratorium i tamże zwoziła resztki ocalałej meissenowskiej porcelany, kryształów i dywanów. To ona "dyrgowała" nami tak, żeby nie osmielić się obniżyć poziom.

Jedyna laborantka, cudowna przyjaciółka, Fecia Fersztówna - siostra intendenta, dziewczyna z nabożnego, ubogiego środowiska, z nieładną twarzą i wielkim sercem i umysłem.

Należał do tego grona Marek Edelman, wtedy goniec szpitala, już wtedy pełen przewrotnej fantazji i pozornie dziecięcej pustoty, i ja - właściwie taka sama,

wiączona chyba właśnie przez kipiącą fantazję i chęć zgrywy - a może przez to, że długo jeszcze nie znałam uczucia strachu.

Potem do tego "wybranego grona" doszła dr Margolisowa, po śmierci męża rozstrzelanego na Radogoszczu w Łodzi szukająca schronienia wraz z dziećmi w Warszawie. Nie pamiętam, kiedy doszła do nas sekretarka szpitala, Bronka Feinmeseer - Marysia. Ale to już było po "zamknięciu", które trwało parę tygodni.

Od czasu do czasu na wspólne śniadania o godzinie 10 zapraszani byli goście - Józio Ferszt, dr Leneman i urocza dr Kachane /zmarła po wojnie śmiercią naturalną/. A "śniadania" te, zasadniczy posiłek podawany na meissenach i "pity" w kryształowych kieliszkach składał się z 10 dkg kartkowego chleba, pokrajanego w cieniutkie kromki i 1 dkg buraczanej marmolady lub 5 g "małpiego smalcu". Do tego dochodził 1 - słownie jeden - 25g kieliszek spirytusu nie rozcieńczonego, wypitego jednym zręcznym haustem. Ten jeden kieliszek nie powodował rauszu, ale pomagał pracować. A jakie miał znaczenie kaloryczne, przekonaliśmy się dopiero później w okresie zupełnego głodu, kiedy z naszej grupy nikt nie miał obrzęków głodowych. 200 dodatkowych kalorii miało niewątpliwie znaczenie zasadnicze. A spirytus był po zamknięciu getta jedynym naszym ratunkiem. Z cudownym brakiem konsekwencji okupant, pozbawiając nas żywności, utrzymywał dla lekarzy przydział spirytusu.

### Dzień powszedni szpitala

Zamknięcie getta zbliżało się wielkimi krokami. Zmieniał się obraz ulicy i obraz szpitala. Do Warszawy zwożono Żydów z miast i miasteczek. Na ulicy coraz więcej wędzniających, obdartych nędzarzy, błagających o kawałek chleba. W szpitalu coraz więcej dzieci zaświerzbionych, zawszonych, zagrzybionych. Coraz częściej dzieci wycieńczone głodem o dorosłych oczach i coraz więcej gruźlicy.

Oddział gruźliczy - kilka pokoiów na III piętrze, w którym leżały dzieci, dla których nie było już nadziei. Z gruźlicy w tym czasie dzieci nie zdrowiały. Ordynatorem tego oddziału była dr Margolisowa, równie jak Naczelna wierząca, że praca musi być taka jak zawsze, jak przed wojną, że ani na jotę nie wolno odstąpić od świętego schematu pracy lekarza. Rano zabiegi, pobierania krwi, obchód, wpisywanie zleceń, potem wypełnianie historii chorób, prowadzenie ich na wzór kliniczny tak, aby dokumentacja mogła przetrwać lata. Ani na chwilę nie można było dopuścić myśli, że ta dokumentacja nikomu do niczego się nie przyda - tak jak nie wolno było dopuścić myśli, że można zaniedbać czegokolwiek przy chorym dziecku.

Dzień szpitalny zaczynał się codziennie od "raportu" - odprawy u dr Naczelnej, gdzie nie tylko omawiało się nowe lub trudne przypadki, ale trzeba było tłumaczyć się z każdego zgonu i udowodnić, że zrobiono wszystko, co możliwe dla uratowania życia. A tych tłumaczeń było coraz więcej...

Pierwszym takim "zbiorowym" zgonem była śmierć w ciągu paru zaledwie tygodni niemowląt przywiezionych z Domu Podrzutków. Zamorzone głodem niemowlęta zginęły z powodu "infekcji pośladowej", która zabierała nam jedno po drugim. Nie pomagały żadne środki, odżywki ani opatrywanie strasznych zmian troficznych skóry. Wszystkie zginęły cichutko, prawie bez płaczu.

Potem zaczęły się zgony na oddziale gruźliczym. Dzieci leżały tam długo i nie wolno im było wychodzić do ogrodu, aby nie zarażały innych. Były to dziwne dzieci. Dojrzałe świadomością nieuniknionego, a jednocześnie jakby oddzielone niewidzialną ścianą od całej straszliwej codzienności getta. Dzieci, które czytały mądre książki i dyskutowały o "życiu", ale nie o tym wojennym. Było wśród nich kilkoro z Domu Korczaka, wśród nich Ariel, piękny 13-letni Ariel, który grał na skrzypcach. Była też Zosia, starsza od niego o rok, i była ich miłość. Miłość dwojga dzieci, a może miłość dorosłych ludzi, których całe życie przeszło od dziecka do dojrzałości w ciągu tego wojennego roku na oddziale gruźlicy szpitala dziecięcego. Przyjaźniłam się z tymi dziećmi. Co dzień po 3-ciej przychodziłam do nich na oddział i rozmawialiśmy długo, czytaliśmy książki, a później, kiedy z powodu szkarlatyny przeleżałam 6 tygodni na oddziale zakaźnym, sąsiadującym z oddziałem gruźliczym, w ciągu ostatnich dwóch tygodni już "nie zakaźna", pomogłam im w urządzeniu "artystycznego wieczoru". Wtedy to Ariel grał na skrzypcach, a malutka 6-letnia Ryfka tańczyła taniec umierającego motyla. Była jak motylek śliczna, smukła i tak bardzo lubiła stroić się w barwne wstążki i korale, żeśmy ją nazywali "hotentotką". Tak radośnie śmiała się ubrana



w bidulkowe spoczniczki z masą barwnych papierków, ze skrzydełkami z drutu i opaską papierowych kwiatów.

I jak motylek w kilka tygodni potem usnęła na łóżeczku, żeby się więcej nie obudzić. A potem, akurat w dzień moich urodzin, w pierwszy dzień wiosny 1941 r. umarł Ariel. Ciężko umierał, dusząc się krwią, bolesnym kaszlem. Dostał morfinę. A ja, w ten dzień moich 24 urodzin dostałam niezwykle w getcie prezent - trzy żywe żonkile.

Ariel leżał w kostnicy szpitalnej, poszłam do niego i położyłam te trzy kwiaty. Nic więcej nie miałam do dania. Puste były moje ręce i słów nie było, które by pożegnały dziecko, które powinno było żyć.

Stchórzyłam tego dnia. Nie poszłam na oddział gruźliczy. Nie mogłam spojrzeć w oczy Zosi, która w swoim krótkim życiu przeżyła już miłość i śmierć. Nie mogłam spojrzeć na puste łóżko dziecka, które było mi bliskie jak własne.

I kiedy tak szłam do domu, świadoma swego tchórzostwa, usłyszałam wołanie. To dziczi z oddziału gruźliczego zobaczyły mnie przez okno. Poszłam na górę i usłyszałam:

- Pani doktor, my wiemy, dlaczego pani do nas nie przyszła. Ale nie trzeba się bać. My nie rozpaczamy. A z nami będzie przecież tak samo.

Następnego dnia na odprawie omawiano śmierć Ariela. Ale już nie trzeba się było z niej tłumaczyć. Już było wiadomo, że coraz mniej jesteśmy zdolni do ratowania życia, a coraz bardziej stajemy się dawcami cichej śmierci. W poszukiwaniu tej łaski cichej śmierci pewnego dnia bezdarny dzieciak w łachmanach rozebrał się do naga przed bramą szpitalną w zimny jesienny dzień i krzyczał głosem rannego psiaka, żeby go zabrać do szpitala, bo jest sam i głodny, i zmarznięty.

A ja wychodząc wieczorem ze szpitala nadepnęłam na coś miękkiego: trup niemowlęcia, obrzęknięty, przykryty gazetami.

Głodne dzieci - coraz więcej ich było na oddziale wewnętrznym, aż wreszcie zajęły wszystkie łóżka.

Co dzień rano obchodziliśmy sale wciąż jeszcze białe, ale białością, która stała się bladeścią śmierci. Co rano patrzyliśmy na rozdęte, zniekształcone ciała, na twarze pozbawione wyrazu i z tym samym przerażeniem odczytywaliśmy wiele stworzeń bez wieku 4-5-6, czasem 10-12 lat. Patrzyły na nas oczy bez dna, oczy tak strasznie poważne i smutne, jakby cały żal 2000 lat diaspory znalazł w nich wyraz. Na kołdrze bez ruchu leżały ręce - rączki dziecka o pogryzanych paznokciach, opalone lub blade, te same, które jeszcze kilka miesięcy temu matka całowała i tuliła z miłością. Wiecznie ruchliwe, radosne ręce dziecka, teraz bezsilne i uspokojone.

Nie, nieprawda, nikt nie poddawał się rozpacz. Wśród salowych poruszających się z trudem na obrzękniętych nogach - przecięż ich też nie oszczędzała choroba głodowa - wśród pielęgniarek pracujących bez oglądania się na rozkład po 10-12 godzin, poruszaliśmy się i my - lekarze, w rękach których znalazły się nie tylko nędzne leki wstrzykiwane dożylnie w obrzęknięte ręce, ale i równe, nędzne przydziały Jointu: 1/2 jajka w proszku, 1 dkg margaryny - skarby, których nie można było powierzyć konającym z głodu salowym nie dlatego, że nie były dostatecznie uczciwe, ale dlatego, że nie można ich było narażać na męki pokusy.

Głód jest rzeczą straszną. A to był głód prawdziwy. Ten, który zabija. W 1974 r. w Nowym Jorku w IWO znalazłam na wystawie fotogramów z getta kawałek naszej sali szpitalnej z Helą Keilson, z Sabiną, której nazwiska nie pamiętam, tylko wiem, że z nadludzką siłą stojąc na spuchniętych nogach podnosiła ciężkie, bezwładne ciało, myła je, przewijała, podkładała czyste pieluchy - tak długo, aż pewnego dnia nie przyszła do pracy. Powalona chorobą głodową leżała na nędznym barłogu i czekała na śmierć. Wtedy udało się ją uratować. Codziennie po pracy w szpitalu dzieliliśmy między siebie odwiedziny u konających z głodu pracowników.

Nieśliśmy im jedyne, cośmy mieli - glukozę dożylną, która czasem na krótki czas wracała im siły.

Przy takiej okazji zaraziłam się dudem plamistym. Poszłam na punkt przesiedleńców, by wstrzyknąć glukozę z cebionem jednej z naszych salowych, która leżała z obrzękami głodowymi. W ciemnej izbie przysiadłam pod oknem na niskim barłogu. W mieszkaniu leżeli pokotem ludzie, ale nikt z nich nie gorączkował. /Kiedy wyszłam, okazało się, że "siadłam" w gniazdo wszy. Chodziły mi po sukience niebieskiej w czarne paski, którą włożyłam tego dnia, 26 VI 41 r., bo były imieniny

meza Iosi - Władysława. Obchodziła te imieniny, które były zarazem jej rocznicą ślubu, jakby miała tym świętecznym dniem zakląć go do powrotu. Zginął w Katyniu. A ja, prosto z tej uroczystości, poszłam po tyfus/.

Nie pomogło natychmiastowe odwszenie - w kamerze dezynsekcji. 13 VII stwierdziłam, że czuję się niewyraźnie i mam 38,3°C. Była niedziela. A ja miałam dyżur jako jedyna na oddziale duru plamistego. Więc wyszłam z domu i poszłam do Maryli Folmanowej, koleżanki z tego oddziału. Byliśmy tam wtedy we trójkę na 150 dzieci i - uprzedziłam ją, że może nie wytrwam do końca dyżuru.

Obchód zrobiłam i zaczęłam wypełniać karty wypisowe i przeniesienia z tzw. Verdacht na Sicher - był to codzienny raport dla władz niemieckich, który z samego rana Marek z przepustką zawoził do Stadts Arzta Schrempfa. Pamiętam, że z 30 kart zrobiłam 28 i skończyłam, więcej nie mogłam. Więc poszłam do dr. Naczelnej do gabinetu i powiedziałam jej, że mam tyfus i idę do domu.

Patrzyła na mnie przerażona tymi swoimi czarnymi oczami. - Idź - powiedziała. Pojechałam do domu rikszą. Po drodze rikszarz wpadł na niemiecki samochód. Niemiec wyskoczył ze szpicrutą i ciął. Ja wyskoczyłam i dalej poszłam pieszo. 2 tygodnie tyfus przeleżałam w domu i to do południa sama. Domownicy wychodzili do pracy.

Po południu przychodzili koledzy ze szpitala i kłuli mnie zastrzykami - glukoza dożylnie, jakieś nasercowe, dawali mi pić, bo to było jedyne, co mi dokuczało - i znów leżałam we mgle 40°C gorączki. A po 14 dniach przyszedł kryzys. Temperatura spadła nagle, a ja wstałam, ubrałam się i wyszłam z domu na ulicę. Nie, nie upadłam, nie umarłam. Na wózku kupiłam 10 dkg wiśni, wróciłam do domu, położyłam je na talerzyk i położyłam się z powrotem do łóżka. Kiedy po południu przyszła Hela, zapytała, skąd te wiśnie.

- Kupiłam.

- Jak to?

- No, kupiłam na dole.

Przerażeni ustanowili dyżury - była to malutka, króciutka psychoza durowa, która minęła po trzech dniach.

Po 3 tygodniach wróciłam do szpitala. Pierwszy tydzień leżałam na leżaku w ogrodzie szpitalnym, a potem po prostu wróciłam do pracy. Znowu na oddział tyfusowy, na którym dzieci nie umierały. Tylko nie starczało dla nich kóżeczek i leżały po dwoje, czasem nawet po troje z plasterkami z numerkiem przyklejonym do czoła. Gorączkowały i bez przerwy wołały pić. Nie, nie umierały na dur. Wypisywaliśmy je do domu, śmiertelnie zmęczeni, bo codziennie przyjmowaliśmy po kilkanaścioro i tyleż trzeba było wypisać lub przesunąć z "podejrzenia" na "pewność", a dokumentacja oddziału durowego była przecież pod nadzorem Niemców. Wypisywaliśmy je, aby umierały z głodu w domu lub wracały z obrzękami po łaskę cichej śmierci.

### Dzieci, które pamiętam ze Śliskiej

Abramek Federman "chorował na dziwną chorobę". Tracił władzę w rękach i nogach, które ulegały przykurczom. Przychodził do niego neurolog, ale nie można było nic poradzić. I Abram krzyczał. Krzyczał z bólu i bezsilności bezustannym wyciem, którego nie można było wytrzymać. Aż ktoś wpadł na pomysł, żeby w przykurczone palce włożyć ołówek i dać mu kartkę papieru. I Abramek ucichł. Nie tylko ucichł. Uśmiechnął się. A potem dostał jeszcze kredki. Rysował. Rysował z głowy, z pamięci - i to, co widział. I na tych obrazkach pewnego dnia zobaczyliśmy niemieckiego żandarma /?/, który dawał dziecku... cukierki.

Rafałek Wichels. Trzylatek. Chyba z domu podrzutków, przywieziony jeszcze za "dobrych" czasów z powodu zapalenia płuc. Pyzaty, psotnik, śmiejący się prawdziwym śmiechem dziecka. Pieszczotliwie przytulał nam buzię do kolan i prosił: Daj ciu-ciu. Bawił się wszystkim, co mu wpadło w psotne rączki. Umarł na gruźlicę. "Zapalenie płuc" okazało się gruźlicą.

Aronek, którego nazwiska nie pamiętam, był synem rabina. Przychodził do szpitala tak zawszony, że główka jego sprawiała wrażenie siwej. Dopiero z bliska widać było, że ta siwa czupryna rusza się. W "brudnym przyjęciu" ostrzyżony do gołej skóry przeżył głęboko utratę pejsów. Płakał i bał się ojca. Ale stary rabin, który przyszedł do szpitala, powiedział tylko: "Jak można było dopilnować dziecka, jeżeli pedzili nas cały tydzień, a teraz w tej jednej izbie jest nas 50 osób. Pan Bóg wybaczy ci, synku".

Aronek nie umiał po polsku. Z trudem porozumiewałam się z nim tymi swoimi nędznymi pojedynczymi zdaniem, których nauczyłam się od dzieci po to, żeby z nimi porozmawiać.

I Aronek, wdzięczny za każdy uśmiech, za każde słowo, usiłował nauczyć mnie piosenki, którą śpiewała mu kiedyś mama. A kiedyś wieczorem, kiedy siedziałam w dyżurce i wypełniałam historie chorób, usłyszałam rozmowę dzieci o nas i nie o nas.

- Przecież oni nic nie rozumieją. Po co im opowiadać.

- Oni nie wiedzą, co to jest, że się nie ma już nic do sprzedania i nic do jedzenia, i że to tak boli.

- O, jak moja siostra umarła, to tatuś powiedział, że to wszystko jedno, gdzie ją pochowają, bo my i tak nie będziemy żyli, żeby chodzić na grób. I tatuś zwinął ją w papier i zaniósł na ulicę, a mamusia płakała i chciała mu ją wyrwać, ale nie miała siły.

- A ja wyrwałem ludziom chleb i mnie złapali i zbili. A potem to już nie pamiętam.

Na ulicach getta było pełno "chaperów". Obok żebraków, małych nędzarzy śpiewających piosenkę "Bo my jesteśmy młodzi", były te dzieci chyba najgłodniejsze, które wyrwały przechodniom paczuski z jedzeniem lub odłamywały kawałek niesionego bochenka.

Aż kiedyś na Lesznie mały nędzarz wyrwał mi z ręki bukietek fiołków i zjadł.

Wszystkim dzieciom przyjmowanym do szpitala trzeba było pobierać krew na odczyny Vidala, Weila Felixa. Dotyczyło to nawet tych z góry skazanych z gruźliczym zapaleniem opon mózgowych, które wtedy było jeszcze chorobą nieuleczalną.

Nie było to łatwe zajęcie. W obrzękniętych lub wyniszczonych rączkach nie dało się wyczuć żyły.

Nauczyłam się pobierać krew z żyły jarzmowej na szyjce. Dlatego też przez moje ręce przechodziły wszystkie dzieci nowoprzyjęte do szpitala. I zapewne dlatego dostąpiłam zaszczytu pobierania krwi u dzieci zagrożonych dla Tosi Goliborskiej, która należała do zespołu badającego chorobę głodową.

Przynosiłam jej krew w małych próbkach, a potem czasem opowiadała nam o zebraniach grupy badaczy.

Lekarze w getcie nie tylko nie przestali być lekarzami, ale do ostatniej chwili pracowali naukowo z myślą o tych, którzy przyjdą po nich.

Ostatnie zebranie naukowe zespołu opracowującego chorobę głodową odbyło się w sierpniu 1942 r. - już w czasie akcji. Dr Milejkowski zawiadomił zebranych, że jest to już ostatnia sesja i wtajemniczył ich w miejsca, gdzie praca w odpisach będzie ukryta. M.in. na cmentarzu. Tydzień po tym zebraniu prawie nikt z biorących w nim udział nie żył.

Nie była to jedyna praca naukowa, jaką wykonywali lekarze w szpitalu. Wewnątrz szpitala do ostatnich miesięcy odbywały się co 2 tygodnie zebrania naukowe, na których omawiano ciekawe /coraz mniej ich było/ przypadki, dyskutowano nad metodami leczenia, a nawet wygłaszano krótkie referaty teoretyczne. Na każdym oddziale 2 razy tygodniowo odbywały się obchody z dr Naczelną. Normalne, przedwojenne obchody, z referowaniem wszystkich przypadków po kolei, z dyskusją przy łóżku chorego. A był taki jeden dzień, kiedy przygotowani do obchodu czekaliśmy w sali. Drzwi otworzyły się, weszła dr Naczelna, a za nią z pistoletem wymierzonym w jej plecy Schrempf, a za nim dwóch gestapowców. Szybko, bez słowa przeszli przez oddział. Myśmy stali. Ale tym razem na tym się skończyło.

x x x

Tego dnia umarła Felutka. Było to gdzieś jesienią 41 r. Leżała już od pół roku na chirurgii, dorosła do 3 lat i była ulubienicą wszystkich. Mówiła: "Daj wańcuszek", "tocham ciebie"; śliczna i radosna, jak ktoś z dawnego świata, cieszyła oczy i serce. Chorowała na ropniaka opłucnej. Ciągłe punkcje nie pomagały. Chirurg zdecydował się na zabieg operacyjny i dziecko zginęło na stole. Wyszedłam z oddziału gruźliczego na III piętrze i zamierzałam zejść na dół, kiedy ktoś złapał mnie za rękę i pociągnął z całej siły na schody. To była dr Naczelna. Grzmącym głosem krzyczała. - To nie lekarz, to rzeźnik. On nie ma co robić w naszym szpitalu. Za-

dużo dziecko. Gros jej się załamał. Spojrzałam - lzy toczyły się po twarzy naszej dyrektorki. Nie wypuszczając mojej ręki biegła tak na sam dół, aż na parterze puściła mnie i wpadła do pokoju siostry przełożonej. W tym piekle szalejącej śmierci Naczelną płakała nad tym jednym zgonem, którego można było uniknąć. Szpital był jej domem, dzieci chore, umierające były jej dziećmi. Umierała z każdym dzieckiem, którego nie można było uratować, zburzony szpital wciąż organizowała na nowo.

Dr Naczelną nie wyszła z getta. W ostatnim liście, który otrzymaliśmy od Niej w marcu 1943 r. - 3 miesiące po moim wyjściu z getta - pisała: - Nie martwcie się o mnie - mam inne plany - i została na gruzach szpitala na Gesiej - ostatniego schronienia chorych dzieci. Ale szpital na Siennej nie nosi jej imienia. Kiedy po wojnie w odnowionym budynku otwierano "Szpital Dzieci Warszawy" powiedziano nam, że czasy nie odpowiadają temu, żeby nadać szpitalowi imię dr Anny Braude-Hellerowej.

### Nieludzki koniec nadludzkiej medycyny

Nie wiem, który to był dzień. Ale tak mi się wydaje, że to był chyba 4 września 1942 r., a może... Nie, to było dzień czy dwa wcześniej. W każdym razie był to ten dzień, kiedy do szpitala na Stawkach zwieźli wszystkich chorych ze wszystkich szpitali. A myśmy tam byli już przedtem. To znaczy, że dzieci przywieziono na Umszlag dużo wcześniej - tak, dzieci były na tym trzecim piętrze już od dwóch tygodni. Ja tam doszłam później - bo tego dnia, kiedy dzieci ze szpitala na Lesznie zabrali na Umszlag, ja połknęłam fiolkę luminalu, popiłam 1/2 szklanki wódki /bo więcej luminalu nie miałam, więc bałam się, że za mało/ i położyłam się po prostu do łóżka. A potem przyszła Hela Keilson, a ja jeszcze nie spałam i ona zapytała: "coś ty zrobiła?", a ja jej odpowiedziałam, że wszystkie choroby doprowadziłam do końca i odłożyłam na miejsce, a wtedy ona zaczęła krzyczeć i wzięli mnie mocno za rękę i wyprostowali, żeby można było wkuć się do żyły, a ja krzyczałam - "zostawcie mnie w spokoju, bo przecież wszystko się skończyło - już nie trzeba..." I potem usłyszałam jakiś dzwonek i koniec, więcej nic nie pamiętam. Dopiero potem się dowiedziałam, że Hela Keilson wzięła do strzykawki dwa razy tyle kardiamidu, co glukozy, bo pomyliła ampułki i to był wstrząs kardiazolowy.

I dopiero po 37 latach, jak czytałam to, co Marek mówił, dowiedziałam się, że to on mnie wyniósł w tej różowej koszuli.

I dlatego ja do tego mieszkania na Pawiej i na ten oddział na Umszlagu przyszłam o kilka /parę?/ dni różnie niż wszyscy. Ale i tak byłam tam swoje trzy tygodnie. I codziennie wychodziłam po odjeździe wagonów i zbierałam dzieci, które matki rzuciły na plac. Może chciały ratować te dzieci, a może siebie? Strach przed śmiercią to jest taka rzecz, której nie można zrozumieć. Trzeba ją poczuć, żeby wiedzieć. I ja ją też poczułam, ale to było dużo później i całkiem inna sprawa. A wtedy w ogóle nie czułam nic, jak wychodziłam na to podwórko i pokazywałam temu Ukraincowi wódkę i piłam pierwsza, a on resztę, i wtedy zbierałam te dzieci i odnosiłam do szpitala na oddział.

A kiedyś on rozmawiał ze mną, a w oknie Umszlagu ukazała się jakaś dziewczynka. Więc on podniósł karabin, zastrzelił ją i dalej coś do mnie mówił.

A ja wzięłam te dzieci i powiedziałam mu do widzenia i poszłam, tylko nie bardzo wiedziałam, jak je trzymać, żeby jak on do mnie strzeli, nie trafił dziecka. A potem wysłało się je karetką na miasto, bo karetka jeździła do końca, i ja nie wiem, kto je zabierał. Ale niektóre wracały, a poza tym, co za różnica? Przecież i tak zginęły. Tylko wtedy wydawało mi się, że to jest różnica. A czasem były rodziny. W 1974 roku, w Nowym Jorku Stasia mi powiedziała, że jak wyszliśmy po wszystkim do kotła i wsiadaliśmy do karetki, to ja ją ciągnęłam do środka, a kierowca ją wyciągał i wtedy ja krzyknęłam: "ty draniu, wczoraj twoje dziecko wyniosłam, a ty..." I on się uspokoił. /Więc chyba były jakieś rodziny też/. A ja tego w ogóle nie pamiętam.

Chociaż to, żeśmy wyszli, było strasznie ważne i takie jest ważne do dnia dzisiejszego, i nie wiem, czy to jest jakieś wytłumaczenie, że byliśmy tacy młodzi i chcieliśmy żyć, i ja potem, jak mnie uratowali z tej próby śmierci to naprawdę chciałam żyć, chociaż jeszcze nie znałam strachu i dlatego wyszliśmy z tymi głupimi numerkami, a ci inni zostali. Tylko niemowlęta nie zostały i dzieci starsze spały.

A w ogóle to było tak, że jak rano obudziłam się na Pawiej w domu, to powiedziano nam, że trzeba się zbierać w tym czworoboku ulic /Miła, Zamenhoffa, Gesia, Smocza/ i wtedy dr Margolisowa i ja powiedziałyśmy, że idziemy do szpitala i ktoś jeszcze po-

... ja już nie pamiętam. Tylko wiem, że szliśmy pustymi ulicami i nawet nie wiem, czy Marek był wtedy z nami. Wiem, że potem byliśmy razem, ale wtedy nie wiem. Tylko pamiętam, że szliśmy w tych białych fartuchach i chyba do nas nie strzelali, a może strzelali? Nie wiem. Już jestem stara i nie pamiętam.

Tylko pamiętam te drzwi szpitala i te schody, na których leżeli ludzie i ten straszliwy smród ropy i kału, i że ktoś mnie ciągle łapał za fartuch i krzyczał "siostra, siostra". To było całkiem inaczej niż w powstańczych szpitalach potem, chociaż i tam było strasznie. A tu wiem, że szłam coraz wyżej i tylko się starałam, żeby nie deptać po ludziach, a tam leżały trupy i żywi razem. Aż doszłam na to nasze trzecie piętro i tylko salka niemowląt była, a dzieciennych sal nie było, bo wszędzie leżeli ludzie chorzy i ranni, i umierający. A jak tak chodziłam to zaczęły się znajdować dzieci, wychodziły z kątów i zbierały się koło mnie - jak ptaki albo szczeniaki, i tak szliśmy coraz dalej i było ich coraz więcej, aż doszliśmy na jakąś salę i tam usiedliśmy. I wtedy taka Marysia, która miała gruzlicę węzłów chłonnych, to się wtedy nazywało skrofule, powiedziała do mnie: - My już wszystko wiemy, pani doktor, my już wiemy, że nie mamy ani mamusi, ani tatusia, i że my też nie przeżyjemy. Ale czy pani doktor będzie z nami do końca?

- Tak, Marysiu, zostanę z wami na pewno - powiedziała.

I to było tylko pół prawdy, bo przecież ja wyszłam, tylko że one już wtedy spały i nie powinny się były obudzić. I tylko czasem, jeszcze teraz, jak nie mogę spać, to myślę, czy się któreś nie obudziło? Ale o tym lepiej nie myśleć.

Tylko ja wtedy jeszcze o tym nie myślałam i w ogóle nie wiedziałam, czy wyjdziemy. To jeszcze był cały dzień przed mną. A na dole leżała Hela Keilson z obandażowaną nogą, a w drugim łóżku leżała kierowniczką kuchni cała w bandażach. Obie były oparzone, bo kierowniczką kuchni któregoś z poprzednich dni chciała się pochwalić, że ugotowała dla dzieci zupę z brukwi z marchewką i Hela tam zeszła, a ta kierowniczką tak się cieszyła, że jest zupa, że nie spojrzała za siebie i usiadła w ten wielki kocioł zupy, który stał już na podłodze. A to, co przysnęło, to oparzyło Heli Keilson nogę, tak że nie mogła przez kilka dni chodzić.

Więc ja tam siedziałam z nimi, bo Niemcy i Szaulisi wpadli do szpitala i szukali "obcych", a one nie leżały na sali chorych, tylko na dole w takim pokoiku koło dyżurki. Więc jak Szaulisi wpadli do pokoju, to ja odwijalam opatrunek tej kierowniczką kuchni i oni poszli dalej - uznali, że wszystko w porządku. A tam, w sąsiednim pokoju leżała Zosia Frakter, też młoda lekarka, otruta - dowiedziała się, że jej matkę zabrali. I tylko tyle pamiętam, że jak z tego pokoju oparzonych szłam z powrotem na oddział, to ktoś niósł trupa Zosi na rękach i ona gdzieś tam leży na pewno "pochowana". Tam, gdzie dziś jest zajezdnia na Inflanckiej??? Nie wiem.

A potem wróciłam na oddział do tego pokoju, gdzie siedziały dzieci i była tam dr Margolisowa, i była u siebie w gabinecie Naczelną. I wiem, że byliśmy u Naczelną, która mówiła o tym, że nie chce dzielić numerków. Pamiętam, że jej powiedziałam: - Jak pani doktor tego nie robi, to od nas nikt nie przeżyje, bo robi to dyrektor szpitala dla dorosłych. I ludzie wszyscy mówili, że Ona musi to zrobić, a to było podłe, bo przecież nikt z nas nie chciałby wyrokować o tym, kto ma żyć, a kto nie, a jednak żądaliśmy tego od Niej. Ordynatorzy mieli podobno numerki automatycznie, a o reszcie trzeba było decydować. Potem, po wojnie zapytałam Arika, czy on wie, dlaczego myśmy dostali te numerki, to znaczy tacy jak ja, a nie ci starsi, 1000 razy więcej wari. A on mi wtedy powiedział, że mama postawiła na młodość, że my może przeżyjemy i coś jeszcze w życiu zrobimy. Więc tak było, że z tej naszej najbliższej grupy to miała dr Margolisowa i Ala, i Hela Keilson, i Marek, i ja, a nie miała Stasia, bo ona była w ogóle nie z naszego szpitala, tylko wzięliśmy ją ze sobą na Stawki, żeby się nie rozdzielać. A Marysia i Dola Keilson były chyba już wtedy po aryjskiej stronie z Wackiem Skonecznym. W każdym razie ja ich tam na Umszlagu nie pamiętam.

Więc wróciłam z tego pokoju oparzonych do dzieci i siedziałam, bo już nic innego nie miałam do roboty, tylko siedzieć i rozmawiać z dziećmi, i opowiadać, jak to było kiedyś. Trochę nam ta rozmowa szła, a trochę nie, więc siedzieliśmy w milczeniu, tych 15 dzieci i ja jedna. Wtedy przyszła po mnie siostra Mira, nie pamiętam jej nazwiska, chociaż jej twarz mam ciągle w oczach jak żywą. I poprosiła mnie, żeby z nią zejść na dół na chwilę. Jak wyszliśmy z tej sali powiedziała do mnie i ja to jeszcze ciągle słyszę: - Pani doktor, pani robi zastrzyk mojej

matce, bo ja nie mogę. Ja panuję drągam. Ja nie chcę, żeby ją zastrzeżili na łożku, ona nie chodzi.

Więc ją zapytałam, co jest w strzykawce, a ona mi powiedziała, że morfina. I wtedy nagle zrozumiałam, co mogę zrobić z dziećmi, żeby im dotrzymać słowa. Choć jeszcze nie wiedziałam, że mam numerki, ale i tak wiedziałam, że nas rozdziela i nie uda mi się pomagać im w tej ostatecznej chwili. Spytałam ją, czy ma dużo morfiny, a ona powiedziała, że mi da. Bo wiedziała, po co.

I poszliśmy na I piętro, gdzie leżały rodziny personelu. Tam przedtem leżał mój teść, ale Mietek go zabrał, a przecież jemu też bym pomogła. Więc ta siwa pani uśmiechnęła się do mnie i wyciągnęła rękę. A siostra zrobiła zacisk. I tak wstrzyknęłam do żyły tę morfinę.

I potem zobaczyłam jeszcze parę osób, które już nie mogły się ruszać o własnych siłach.

Wtedy zapytałam Mirę, co mamy zrobić, a ona powiedziała: - Chyba im pomóc. Więc pomogłyśmy im też. A pod oknem leżała taka kobieta z obrzękami, z niedomogą krążenia i ona patrzyła cały czas i miała w oczach błaganie. Więc ona była ostatnia, której zrobiłyśmy zastrzyk.

A dopiero potem, dużo potem dowiedziałam się, że to była żona dr. Lendsberga. I ta "scena", jak on się o tym ode mnie dowiedział, znalazła się w jednej z nowel Rudnickiego. Chyba to było "Wniebowstąpienie". Tylko, że tam jest niezupełnie tak, jak było. Ale to wszystko jedno... Więc jak wyszłam z tego pokoju, wyciągnęłam rękę i dostałam dwa duże opakowania morfiny. I nie powiedziałyśmy sobie ani słowa, tylko chyba uścisnęłyśmy sobie ręce.

I z tym poszłam na górę, i tam była dr Margolisowa i ja jej powiedziałam, co chcę zrobić. Więc wzięłyśmy łyżeczkę i poszliśmy do pokoju niemowląt. I tak jak przez te dwa lata prawdziwej pracy w szpitalu pochylałam się nad łożeczkami, tak samo teraz wlewałam w te małe buzie to ostatnie lekarstwo. I tylko dr Margolisowa była ze mną. A na dole był krzyk, bo tam już byli Szaulisi i Niemcy, i zbierali chorych z sal do wagonów.

Więc potem jeszcze poszliśmy do dzieci starszych i powiedziałam im, że to jest lekarstwo, żeby się nie bały i one mi uwierzyły i wypily z kieliszka tyle, ile trzeba. A potem kazałam im się rozebrać, położyć i przespać. Więc położyły się i po kilku minutach /?/, po ilu - nie wiem, ale jak drugi raz weszłam do pokoju, to spały. A potem już nic nie wiem, co było dalej. Tylko wiem, że riałam przypięty ten numerki i poszłam do oparzonych z tymi numerkami i Hela wstała, a ta kierowniczką otruła się luminalem i myśny ją tak zostawiły. A potem był ten hall na dole w szpitalu przed drzwiami i tam się ludzie pchali do wyjścia, i tam spotkałam swoją nauczycielkę ze szkoły, dr Stefanię Złotowską i ona zapytała mnie gorzko "masz numerki?", a ja nie wiedziałam, jak odpowiedzieć, bo mi było wstyd. I potem była ta kotłownia, a ja nie wiem, jak zabrałam 1/2 l spiritusu i tylko wiem, że w tej kotłowni i w tym pchaniu nie puściłam Heli i Stasi. I to jest chyba najgorsze, że ci wszyscy z numerkami pchali się do życia, a tamci zostali.

Po kotle jeszcze przez parę dni wysyłałyśmy nasze numerki do szpitala, bo ich wywieźli na samym końcu, a parę osób w ten sposób wyszło - ale to i tak nic nie zmienia. I nic nie zmienia i to, że to nie jest koniec. Bo potem było te 5 miesięcy, kiedy były te trzy pokoiki na Gesiej, gdzie był niby oddział dziecięcy i ja rano znów pomagałam leczyć dzieci, a wieczorem pracowałam jako salowa, bo taki miałam etat. I była jeszcze ta druga akcja i potem rozkaz wyjścia, i zaczęły się te dwa lata, kiedy poznałam naprawdę strach i zrozumiałam, że to jest zupełnie co innego walczyć z bronią w rękę, a co innego jest bać się i iść tam gdzie trzeba i być zupełnie bezbronnym. I to były całe dwa lata, ale one i tak nie wymazały nic z tego dnia, kiedy podawałam dzieciom morfinę. I pewno dlatego różniłam się zawsze od wszystkich was, a wyście tego i tak nie rozumieli. I chyba myśleliście, że mnie to już nic nie obchodzi. I jeszcze były te głupie ploty, o których nic nie wiedziałam. I nie widziałam się prawie z nikim, kto przyjeżdżał, nikt o tym nie myślał, tylko z Celiną, bo z Celiną myśmy były zaprzyjaźnione inaczej niż wy wszyscy myślicie, to były nasze babskie sprawy ponad wojnę. Ale to, co było potem, to już całkiem inna historia i już jej chyba nie zdążę napisać - zresztą po co???

Pamiętasz? Tak, Ciebie pytam, jedyny żywy Człowieku, któryś tu pozostał. Nie ma nikogo więcej. 400000 zginęło. Kilka - kilkadziesiąt tysięcy, które pozostały, rozproszyło się po świecie. Więc tylko Ciebie mogę spytać, czy pamiętasz, jak szliśmy we dwoje ulicą umarłego miasta?

Dlaczego - po co? Czego szukaliśmy w ciszy, która krzyczała nam w uszach, na podwórkach, gdzie woda kapała z hydrantów, a wybite okna broczyły pierzem. Dlaczego zaglądaliśmy przez te okna do mieszkań, w których na ścianach wisiały fotografie, na stole stała niedopita szklanka herbaty, a na podłodze leżał drewniany konik i małe trzewiczki?

Pamiętasz? Ktoś do nas strzelał. Gdzieś siedział ten Niemiec, który nagle zobaczył dwie sylwetki pozbawione wymiarów ludzkich i usiłował je zdmuchnąć. Ale nie trafił. Tylko kulki gwizdały nam koło uszu. Ale to nie miało żadnego znaczenia, bo przecież myśmy już własną śmierć przeżyli. Więc mówiliśmy o tym, że będziemy pisać kronikę tego, co się stało. I coś tam napisaliśmy. Tylko, że potem, dużo potem, było Powstanie Warszawskie i wszystko zginęło w ruinach kościoła św. Aleksandra.

A wtedy - może szukaliśmy czegoś, co można porąbać i spalić pod kuchnią, jak tę skrzynkę lokatorów, którą przynieśliśmy na to nasze czwarte? - trzecie? piętro czynszówki na Gęsiej. A może szukaliśmy czegoś do jedzenia, bo przecież kiedy wyszliśmy z kotła i przyszedliśmy do tego domu, gdzie miał być szpital i gdzie miało być nasze mieszkanie, zaczęliśmy od szukania po szafach i szafkach. I znaleźliśmy herbatę, kaszę i woreczek fasoli. Więc nie myśleliśmy o niczym innym, tylko żeby jak najszybciej ugotować tę kaszę i zjeść.

Dużo nas było w tym trzypokojowym mieszkaniu - chyba 10-12 osób. Więc wieczorem stawiało się na małym gazie garnek z "fałszywym czulentem", trochę kaszy, ziemniaków, jeżeli były, i czasem 5 dkg słoniny. Jakies przyprawy? Sól na pewno, bo przecież znaleźliśmy trochę soli.

Więc rano o 5-tej, 6-tej, każdy nalewał sobie talerz tej gorącej, gęstej zupy i szliśmy do pracy. Bo myśmy wciąż jeszcze pracowali w "szpitalu". Ta czynszówka na Gęsiej, której jedyna oficyna była mieszkaniami personelu - to był szpital.

Starczało tego dla 30 - 50000 /?/ żywych.

A trzy pokoiki na I piętrze to było akurat tyle, ile trzeba było dla tych paru tysięcy dzieci, które jeszcze nie zginęły.

Była tam Naczelną i była Hela Keilson, i nie wiem, kto jeszcze.

Niewiele pamiętam z tego oddziału. Chociaż przychodziłam tam rano do pracy. Po południu lub nocą pracowałam jako salowa, bo przecież salowych nie było, a etatów lekarskich tylu nie potrzebowaliśmy.

Nie pamiętam? Nieprawda. Wystarczy zacząć o tym myśleć, żeby poczuć zapach, smród gnijącego mięsa. I żeby zobaczyć Chanę, która miała 10 lat i śmiała się całą chudziutką twarzyczką i mówiła, że tak się cieszy, że ją nic nie boli. A przecież bez palców też można żyć i to dobrze żyć.

Tylko ona wciąż przeprasza, że jej nóżki tak brzydko pachną.

A Chaimek prosił, żeby mu uratować paluszki u rączek, bo on chce grać na skrzypcach jak tata, który został na drodze do Warszawy w śniegu i błocie.

Mroźna była ta zima 1942-43 r.? Chyba tak, bo po ulicy przemykały się wieczorami postacie okutane w szmaty i jeszcze raz szmaty. A dzieci na łóżkach trzęsły się z zimna, bo opału było mało, a chudość nie grzeje.

Tylko nie było już obrządków głodowych, bo przecież w dzielnicy były bony tych, po których dym rozwiął się na polach Treblinki.

Więc było więcej chleba, sztucznego miodu, a od "placówkarzy" kupowało się 5 dkg słoniny albo kwaterkę końskiej krwi.

Pamiętasz? Sprzedawaliśmy na chleb u szciotkarzy cukier i kielbasę, którą przyniósł dr Skoneczny, jak jeszcze miał przepustkę. Tylko, że my nie umieliśmy sprzedawać, więc staliśmy na podwórku i czekaliśmy, co dalej. A to było moje podwórko i ja tam znalazłam fotografie.

Więc nie było już obrządków głodowych, chociaż nie było za dużo jedzenia, tylko były odmrożenia i oparzenia.

A ja już nie pracowałam jako salowa, bo skaleczyłam się przy myciu podłogi w separacie durowej, w której leżał Stefan i miałam taką obrzydliwą flegmonę. Leżałam 10 dni. Dr Wilk przeciął mi to w domu, a potem zostałam jego pomocnicą.

Nie było już przecież oddziału chirurgii dziecięcej. Więc dr Wilk prowadził "małą chirurgię" dla całego szpitala.

Nie wiem, nie pamiętam, gdzie wyjaśniałam narzędzia. Gdzieś był jakiś autoklaw. Tylko pamiętam, że z tacą przykrytą serwetkami chodziłam za dr. Wilkiem po oddziałach i coraz lepiej rozumiałam, że trzeba nieść pomoc do końca, ale przedtem trzeba stać się kawałkiem drewna.

Nie, to mi się już nie śni. To minęło. Tylko potem, kiedy pracowałam w szpitalu w Powstaniu Warszawskim, patrzyłam na to wszystko ślepymi oczami. Bo nic nie było takie, jak odleżyny na całej pośladki, martwe tkanki obcinane zwyczajnie nożyczkami bez znieczulenia. Albo oparzeni w czasie pracy na placówkach, wiszący na prześcieradłach w soli fizjologicznej.

Chlebem codziennym były odmrożone stopy, palce czarne od zgorzeli, amputowane na łożku bez stołu, nawet bez rękawiczek, zwyczajnie po umyciu rąk. I smród - straszliwy smród.

Tylko nie lubiłam wtedy mego oddziału dziecięcego. Nie lubiłam asystować przy amputacji odmrożonych paluszków ani przy opatrywaniu małych dzieci poparzonych śmiertelnie z braku opieki. Nie lubiłam - po prostu.

Z tego okresu pamiętam najlepiej uczennice szkoły pielęgniarzkiej, nadal w tym ostatnim domu przedpogrzebowym trzymane żelazną ręką Luby Blum-Bieliokiej.

Obchodząc o 6 rano sale chorych durowych pytała w swój charakterystyczny sposób zaciągając z wileńska:

- Czy pani była dzisiaj myta?

Pewnego ranka uczennica spiesząc się, żeby zdążyć wszystko przed kontrolą Dyrektorki Szkoły - natarła spirytusem plecy zmarłych, wystawionych w nocy na korytarz.

To był już innych czas. Kiełkowała myśl o zemście. Ludzie już uwierzyli, że to koniec, i od myśli o śmierci w ogóle mocniejsza była myśl o tym, jak umierać. I tak było, że z jednej strony ktoś szykował broń, organizował ludzi, którzy za kilka miesięcy mieli zapłonąć wielkim fajerwerkiem, widocznym w całym świecie, a z drugiej strony coraz więcej ludzi myślało o ratunku. Codziennie dowiadaliśmy się o kims, kto wyszedł z placówki i nie wrócił.

Już krążył w odpisach wiersz Szlengla "Warum Juno sind rund", już padły pierwsze strzały z naszej strony, już radość walki silniejsza była od nienawiści.

x x x

Tylko w szpitalu nic się nie zmieniło. Codziennie chodziliśmy po oddziałach, codziennie usiłowaliśmy tłumaczyć umierającym, że nadzieja nie minęła.

Taki to był szpital.

x x x

Więc to było tak, że obudziliśmy się tego styczniowego ranka 43 r. i usłyszeliśmy niemieckie krzyki. I któryś z chłopców zbiegł na dół i wrócił, i powiedział, że akcja.

No to trzeba było się ubrać i czekać, co dalej.

I nagle ktoś zastukał do drzwi i wszedł taki gestapowiec, jak z obrazka, bo między nimi byli tacy piękni chłopcy, tylko oczy mieli z kawałka lodu. Popatrzył po wszystkich i podszedł do mnie.

- Kim jesteś?

- Lekarzem - miałam już na sobie fartuch i słuchawkę na szyi.

- Boisz się śmierci?

- Nie - i to była prawda. Bo nic nie czułam.

A on wyciągnął pistolet i przystawił mi do czoła, i powiedział coś, że on wcale nie chce, ale "Befehl ist Befehl".

A ja wciąż się nie bałam, tylko wszyscy się zlekli, bo to by wcale nie było przyjemne, taki trup z rozwaloną głową i w ogóle.



A on po chwili podrzucił pistolet na dłoń, uśmiechnął się, że to niby żart się udał i wrzasnął, żeby mężczyźni szli na dół "pomagać chorym". Więc chłopcy wyskoczyli z mieszkania, ale oczywiście schowali się gdzieś w bramie? w schowku?

I jak on poszedł, to powstała sprawa, żeby się schować, bo na drugim piętrze był taki schowek, który pewno zrobił sobie jakiś kupiec na towar. To była taka wąska kiszka, która szła w drugą stronę niż pokoje i drzwi od niej były zastawione szafą.

I ja nie miałam najmniejszego zamiaru tam pójść, ale okazało się, że rodzice Heli nie chcą pójść bez niej, a ona nie chce beze mnie. Więc Marek powiedział do mnie - Musisz iść, bo w domu jest broń i nie chcemy starych w razie strzelaniny.

A w tym "schronie" było około 30 osób i świeczka, którą zapalono, po godzinie zgasła, bo już nie było tlenu. A ja zanim usiadłam, to wypatrzyłam na półce taki ciężki, chyba 2 kg odważnik. I usiadłam na piecyku koło tej półki.

A potem tośmy słyszeli, jak rozwalają jedne drzwi po drugich i kiedy weszli do tego naszego mieszkania, to usłyszeliśmy taki trzask, jakby odsuwali szafę. Więc wtedy pierwszy raz poczułam, że mi jest strasznie zimno, zwłaszcza w nogi. I to właśnie był strach. Ale złapałam ten odważnik w rękę i nie pamiętam już, czy się jeszcze bałam. A potem usłyszeliśmy, jak mówią, że "Ist Nichts da" i odeszli.

I nikt się nie ruszał jeszcze długo. Dopiero później okazało się, że jak oni otworzyli tę szafę, to tak szarpnęli, że tylna ściana wypadła i zasłoniła drzwi od schowka.

A potem jeszcze usłyszeliśmy trzy strzały. A u nas w domu zostały trzy osoby. Więc wtedy to już wiedziałam, że się boję, i trzęsłam się tak, jakbym miała dreszcze. I jak się wszystko skończyło, to Naczelną patrzyła na mnie, żebym poszła zobaczyć, czy można już wyjść, a ja nie mogłam, bo wciąż się trzęsłam. I dopiero, jak po nas przyszedł ktoś, że już koniec, zabrałam Tecię i poszłam przez ich mieszkanie i przez jakieś grunty do naszego. Ale u nas wszystko było w porządku. Tylko chorych już nie było.

x x x

Po tej drugiej akcji 25 stycznia 43 r. kazano mi wyjść z getta. Nikt mnie nie pytał o zdanie, po prostu wyszłam, bo tak było trzeba.

Wraz z Marysią, która już była po "aryjskiej stronie" organizowałyśmy wychodzenie ludzi z getta. Szukowałyśmy mieszkań, dokumenty dla tych, którzy mogli się poruszać.

Przyjmowałyśmy ludzi najbliższych, kolegów ze szpitala. Ostatnią osobą, która zdażyła przyjść do nas była Renia Frydman - Zosia. A potem napisałyśmy ten list do Naczelną, że błagamy ją, żeby wyszła, bo mamy dla niej wszystko.

Dostałyśmy odpowiedź: "Nie martwcie się o mnie. Mam swoje plany". Więc przez chwilę uwierzyłyśmy, że ma inną drogę, tak jak wielu wybitnych lekarzy.

A to była ta jedna droga: razem ze szpitalem.

I tak naprawdę, to nawet nie wiemy, jak zginęła. Czy w płomieniach palącego się szpitala, czy gdzieś w piwnicy? A może znalazła się wśród wywiezionych? Nie wiemy.

x x x

Zacząły się te następne dwa lata. Lata, w których poznałam nienawiść i strach. Strach, od którego lodowacieją ręce i nogi. Ale to zupełnie inne sprawy.

x x x

A teraz lata minęły. Dużo lat.

W tym wielkim nowoczesnym mieście nie ma śladu po tym, co się tu stało. Tak, stoi pomnik.

Ale nie ma ani kawałka muru, który oddzielał 1/3 mieszkańców miasta od resz-

ty. Nie pozostawiono żadnej enklawy kamiennej pustyni, w którą obrócono miejsce, gdzie żyli, umierali i walczyli ci, którzy tu byli 1000 lat.

Nie ma ani jednego wypalonego domu, z którego okien matki wyrzucały dzieci, a potem skakały same za nimi.

Więc chodzę czasem tą nową, nowoczesną dzielnicą po bruku, który kryje kości spalonych, patrzę na te miejsce na niebie, gdzie stał mój dom i wszystkie inne domy.

Kiedy zamykam oczy, ulice stają się znów bliskie. Tłum ludzi - cieni - krąży między cieniami domów i wyraźnie, tak jakby to było naprawdę, słyszę głos dzieci, wołających w tamtej mowie.

"Hob rachmaunes" - miejcie litość.

Przychodzę czasem na ulicę Sienną czy Śliską. Patrzę na bramę szpitala, zaglądam przez kraty i widzę, że nie ma już rajskich jabłoni, które tu kwitły. Ten szpital nie nosi imienia, które powinien nosić.

Ale zamykam oczy. I wtedy otwiera się brama, ta od Śliskiej, gdzie kiedyś rozebrało się bezdomne dziecko, i wychodzą z niej wszyscy ci, których nie ma.

Na ostatnim obchodzie idzie Naczelną w białym fartuchu, za nią lekarze, pielęgniarki, salowe, a potem wychodzi administracja i dyrektor Kroszczor starannie zamyka bramę.

Wiem, że zostawili po sobie wszystko w porządku, a Dola Keilson zamiotła na koric podłogi.

### Szpital na Lesznie

To już była jesień 1941 r. Zdawało się, że nie ma nic oprócz bezradności. Na łóżeczkach nie tylko po dwoje, ale i po troje dzieci. Jeżeli zdarzało się, że dziecko zdrowiało, często nie było już komu odebrać go ze szpitala. Dzień pracy coraz dłuższy, coraz większe zmęczenie pielęgniarek, które, same sianiając się na nogach, przemywały odleżyny, układały obrzęknięte ciała na hoku, "podawały leki". Coraz częściej brakowało jedzenia, nawet tych głodowych racji. I był taki dzień, kiedy na sali "starszych dzieci", wygłodniałe szkielety rzuciły się na kocioł z zupą, przewróciły go odpychając pielęgniarkę, a potem zbierały rozlane pomyje z podłogi, chłepotały je wydzierając sobie kawałki zgniłej brukwi. Nasz "tradycyjny" kieliszek spirytusu przestał być symbolem czasów, które minęły, stał się środkiem znieczulającym, który pozwalał znów przylepić na twarzy grymas uśmiechu i tak chodzić między dziećmi. A dzień szpitalny nie zmieniał się. Naczelną trwała niezłomnie przy swoim. Odprawa - obchód - teczki z historiami choroby, które coraz częściej prawie zawsze kończyły się notatką... zmarł o godz....

Nie wiem, jakiego hartu ducha trzeba było, aby zdecydować o otwarciu filii szpitala dziecięcego. Nie pamiętam, jak przebiegały starania o uzyskanie budynku, ale tyle wiem, że gdzieś we wrześniu - październiku 1941 r. dowiedzieliśmy się, że część personelu przejdzie do gmachu szkoły na rogu Leszna i Żelaznej. Był to smutny, trzypiętrowy budynek tuż koło "waczy" - bramy w murach getta. Po drugiej stronie Żelaznej, połączone z gettem mostem, znajdowały się budynki Arbeitsamtu i kwarantanny dla tych, którzy zetknęli się z dudem plamistym.

W nowym szpitalu znajdowały się trzy oddziały. Na I piętrze oddział zakaźny, którego ordynatorem był dr Makower, na II piętrze oddział wewnętrzny dr Heleny Keilson, zaś na III piętrze oddział niemowlęcy pod kierownictwem prof. Hanny Hirszfildowej.

Profesorostwo Hirszfildowie, ze względu na manifestacyjną przynależność do parafii katolickiej, nie cieszyli się popularnością w getcie. Mimo całego szacunku, jakim był otoczony ich dorobek naukowy, między nami a nimi była jakaś obcość. Było widoczne, że czują się dodatkowo pokrzywdzeni tym, że zostali strąceni z piedestału przynależności do "lepszego części społeczeństwa". Dlatego Naczelną wahała się przed zatrudnieniem prof. Hirszfildowej. Ale w końcu przeważało uznanie dla niej samej, jako dla naprawdę wybitnego lekarza pediatry, jak i ludzkie współczucie dla matki, która bezradnie patrzyła, jak ginie jej jedyne dziecko. Marysia Hirszfild umierała na chorobę Simmons'a. Pamiętam takie zebranie naukowe czy wykład profesora, w czasie którego patrzyliśmy z przerażeniem na ten żywy szkielet przybrany w dzwoniące bransoletki. I patrzyliśmy na twarz matki, która trzymała ją mocno za rękę.

Wobec tego, że dla szpitala na Lesznie nie było dość etatów, a Heli Keilson

i mnie zależało na tym, aby się nie rozstawać, Naczelną formalnie zatrudniła mnie na etacie dezynsektora. Oznaczało to, że do moich obowiązków, poza normalnymi zajęciami na oddziale, należały dwukrotne w ciągu dnia oględziny personelu przychodzącego i wychodzącego z pracy. Ci, u których stwierdzono wszy odzieżowe lub ubraniowe musieli przejść przez kamerę dezynsekcijną. Praca ta, jakkolwiek przykra, dla mnie była bezpieczna - byłam po tyfusie płanistym, a na widok wszy byłam całkowicie zobojętniała. Były po prostu częścią rzeczywistości. Uważałam tylko, aby nie przenieść ich gdziekolwiek, ale ubrana byłam tak szczelnie, od stóp do głów, w kalosze, kombinizon, rękawice i czepki, że nie zdarzyło mi się nic przez cały czas pracy. Przed wejściem na oddział kapałam się i przebierałam "na czystej stronie" w normalny strój szpitalny. Cóż, byłam jedną z najbardziej uprzywilejowanych osób w getcie! Godziennie dwukrotna kąpiel pod prysznicem.

x x x

Nie pamiętam daty, ale to było pod jesień. Weszliśmy do budynku i zobaczyliśmy to miejsce, które miało być szpitalem. To były wielkie sale, zapewne dawne klasy szkolne, jakos tak zbudowane wokół hallu, identycznie na każdym piętrze. A w hallu stał długi stół z szufladami i tam pisaliśmy historie chorób. I nawet nie pamiętam, na którym piętrze była dyżurka lekarska, chyba na parterze? Wiem, że tam stała kozetka, na której się spało, jeżeli dyżur był taki, że można było spać. I jeszcze w takich oddzielonych kawałkach hallu były dyżurki /?/, boksy /?/ pielęgniarek. A na parterze była taka wielka sala czy wielki hall i tam potem był ten "punkt chirurgiczny", gdzie znoszono dzieci postrzelone przez Niemców "na wasze". A do izby przyjęć i do kuchni, i do kamery dezynsekcyjnej wchodziło się jakoś od ogrodu, który wcale nie był ogrodem, tylko zwykłym podwórkiem i to chyba były sutereny. To wszystko jest już bardzo odległe i zamazane, tylko sale szpitalne, do których weszliśmy tego październikowego dnia, będę pamiętała zawsze, bo ani przedtem, ani potem nie widziałam nic takiego, chociaż było Powstanie Warszawskie i widziałam zdjęcia z rowów obozowych.

Te rewiry były jeszcze gorsze, tylko że to byli dorośli, a mnie dorośli nigdy nie przejmowali tak jak dzieci, chociaż dopiero teraz, jak już jestem stara i chora, to wiem, że to jest zupełnie to samo.

Więc tam, w tych wielkich salach, na drewnianych pryzkach, na papierowych materacach bez pościeli leżały dzieci przykryte takimi samymi papierowymi materacami. A w kątach sali stały wiadra blaszane, bo nie było ani basenów, ani nocników, a te dzieci miały "durchfall" - krwawą biegunkę głodową i nie mogły iść do ubikacji. Więc rano, jak się wchodziło, to te wiadra się przelewały i było pełno na podłodze, i był taki straszny zapach krwi i ropy i kału.

A na pryzkach leżały szkielety dzieci albo ogromnie obrzęknięte bryły. I tylko oczy żyły. A kto nie widział takich oczu, takiej twarzy zgłodzonego dziecka z czarną jamą otwartych ust, ze zszarszczoną pergaminową skórą, ten nie wie, jakie może być życie.

Ale myśmy mieli białe fartuchy i nie byliśmy obrzęknięci, bo przecież mieliśmy spirytus, więc te oczy patrzyły na nas chyba z nienawiścią.

Tylko, że nie byliśmy tam po to, żeby patrzeć na grozę, tylko po to, żeby leczyć albo żeby pomagać w spokojnym umieraniu. Ale przede wszystkim, żeby ratować, bo przecież chociaż już było źle i najgorzej, to myśmy jeszcze wciąż nie wierzyli, że nie ma po co i myśleliśmy, że jak wytrwamy, to uratujemy te dzieci i one dożyją końca. Więc tak je ratowaliśmy tą dorobiną jedzenia i jakimiś lekami i zastrzykami, i niektóre z nich zdrowiały. A jak zdrowiały, jak z tych obrzękniętych, strasznych brył wyłaniały się szkieleciki, to nawet czasami zdarzało się, że widzieliśmy coś takiego, jakby uśmiech. Tylko, że to był taki uśmiech, od którego włosy jeżyły się na głowie albo można było dostać gęsiej skórki.

A tych materaców na pryzkach nie starczało i coraz było ich mniej, bo rozmiękały od tych krwawych biegunek i dzieciom zaczęło być zimno i zaczęły się zapalenia płuc.

Wtedy Naczelną postanowiła stworzyć "matriarchat". Nie patriarchat, nie komitet opiekuńczy, tylko właśnie "matriarchat", że to do matek apelujemy. I kazała

mi mówić do tych zebranych, a to byli wszyscy ci, którym w getcie jeszcze się dobrze powiodło /pamiętam, że był Geppner i przedstawiciel Jointu, - Guzik, i jeszcze wielu innych/. Więc nie bardzo wiedziałam, jak mam mówić do tych nielicznych jeszcze sytych i ubranych. I postanowiłam, że trzeba im pokazać prawdę, a potem to się potoczyło samo. Więc im powiedziałam o tym dziecku, które się rozehrało w mróz do naga na ulicy, żeby je wziąć do szpitala, bo do nas dzieci przychodzą już po to ostatnie, co możemy im cfiarować - po łaskę cichej śmierci. I opowiedziałam im o małej Ryfce, która chciała się bawić i tańczyć, i potem jeszcze o tym, że na tych pryzkach umiera może mały Rubinsztajn albo Heine. I że ten szpital to jest Golgota, na której pod krzyżem upada mały Chrystus getta - po trzykroć niewinne, po tysiąckroć męczone dziecko żydowskie.

Kilka lat temu przeczytałam to wszystko w polskim wydaniu Folks-Sztyme i do tego "w tłumaczeniu z żydowskiego". Gdzie - jak - co znalazł się rękopis tego przemówienia, nie mam pojęcia. Ale to przecież też nieważne. Tylko nie było tego zdania o Golgocie i Chrystusie getta, bo może to było bluźnierstwo?

I poprowadziliśmy ich na sale, chyba tylko na jedną, ale to wystarczyło.

Wczesną wiosną 1942 r. na salach stały prawdziwe łóżka z prawdziwymi materacami i na tych łóżkach była biała pościel i prawdziwe koce. Były nawet baseny i nocniczki, i kubki, i miseczki. Więc cieszyliśmy się. Naprawdę. I pewnie nie zdawaliśmy sobie sprawy ze straszliwej ironii tych białych łóżeczek dla dzieci, które już za parę miesięcy...

A tymczasem pomimo tych białych łóżek i trochę większych przydziałów żywności z Jointu narastała bezsilność medycyny. Bo zaczęła się gruźlica, wszechwładna i panująca. I to było tak, że jak dziecko stawało na nogach po zejściu obrzęków głodowych i nawet zaczynało rozmawiać, wykonywało się odczyn Pirqueta. A ten odczyn wypadał dodatnio. I chociaż nie było żadnych innych objawów gruźlicy, już było wiadomo, że to nie potrwa dłużej niż 6-8 tygodni. Więc już nie odsyłałiśmy tych dzieci na Śliską, na oddział gruźliczy, bo nie było po co. Tylko z początku jeszcze kładliiśmy na innych salach. Dla czystego sumienia. A potem nawet to nie miało sensu.

I wtedy wpadliiśmy na pomysł, taki trochę z Grand-Guignola, że przecież tym dzieciom odartym ze wszystkiego musimy spróbować przywrócić trochę uśmiechu.

Przyszła Marysia Natanblut-Hellerowa, synowa Naczelniej, która nie miała nic do roboty, bo była po ANF-ie, i tak we dwie zaczęłyśmy próbować po południu "prowadzić świetlicę". No tak, z początku w ogóle nie wiedziałyśmy, jak się do tego zabrać. Z małuchami to było łatwiejsze. Jak się je zbierało w jednej sali albo w hallu, to chętnie słuchały bajek, nawet tych o krasnoludkach, albo bawiły się w ... dom. A w tym domu była mama i tata, i był stół i świece się paliły, bo to był piątek i był na stole chleb i "stynki". To były ich własne bajki o tym, że był chleb i stynki, i nigdy nie słyszałam, żeby wymyśliły coś o bułce czy szabasowej rybce. A kiedyś gotowały zupę dla dzieci i w tej zupie były "prawdziwe" kartofle.

A ze starszymi dziećmi to w ogóle nie wiedziałyśmy, jak zacząć, bo przecież one były starsze od nas i mądrzejsze o cały wiek udreki i śmierć najbliższych. Więc na początku powiedziałyśmy im, żeby nam trochę pomogły bawić się z małymi, te co chcą, oczywiście. I przyszło dwoje czy troje, a reszta z nas się śmiała, chociaż myśmy tego nie widziały. Ale któregoś dnia, a raczej którejś nocy, na dyżurze, siedziałam przy małej lampce w hallu i wypełniałam historie choroby, i wtedy usłyszałam rozmowę.

- One się bawią z dziećmi, myślą, że to...

- Że co?

- No, że to jest zwyczajne życie i że to są prawdziwe dzieci.

- Bo one chyba są jeszcze głupie.

- A może one nigdy nie były głodne?

- A może one mają stracha i wolą być z nami niż same?

- A wiecie co? Ja bym nawet chciała, żeby można było się bawić i jeszcze chodzić zwyczajnie po pokoju i śpiewać, ja lubiłam śpiewać.

- Zaśpiewaj, Fajgele.

- Co wy, po nocy?

- A jutro?

- Może.

- To opowiedzmy sobie coś.

- Więc jak moja siostra umarła i mama wyniosła ją, to już nie miała siły, żeby

coś użebrać i leżała tak i trochę płakała, ale ja też nie miałam sił wyjść, więc mama też umarła i ja strasznie chciałam żyć i się modliłam jak tata przedtem, zanim go zabili, to mówił: "Szma Israel" i ja też zaczęłam tak mówić i przyjechali po trupy i zobaczyli, że ja jestem żywa i przywieźli mnie tutaj i ja będę żyła.

- To może my też będziemy mówić "Szma Israel"?

A więcej nie słyszałam, bo spadła mi teczka z kartami i dzieci ucichły.

Więc następnego dnia, jak starsze dzieci przyszły patrzeć, jak się te małe bawią w dom, powieściłam nagle - Fajgele, zaśpiewaj mi coś. - A dlaczego ja? - Bo ty tak wyglądasz, jakbyś umiała śpiewać. I Fajgele zaśpiewała kołysankę. A potem zaczęłyśmy rozmawiać. I jakoś tak wyszło, że rozmawiałyśmy jak równe z równymi. Że my wszyscy boimy się tak samo i my też nie bardzo mamy co jeść, ale że jeżeli chcemy przeżyć, to musimy się starać żyć jak ludzie, musimy pozostać ludźmi, bo oni chcą z nas zrobić zwierzęta. Opowiedziałam im, jak się na Śliskiej uczyliśmy angielskiego, a potem wreszcie już tak jakoś, że one są młode i powinny przeżyć, i nie wolno im zapomnieć, że kiedyś umiały się śmiać. I wreszcie postanowiliśmy wspólnie, że urządzimy koncert na Święta Wielkanocne.

Urządziliśmy koncert. Marysia napisała jakąś bajkę do inscenizacji, nie pamiętam już, jaką, a ja z nimi zainscenizowałam piosenkę "Oft dem prieczok". I to Fajgele była rabinem i śpiewała, i kazała dzieciom "robić to co ona" i pokazywała im kroki tańca. A maluchy, przebrane za chłopaczków z chederu tańczyły taniec chasydzki. I jeszcze były jakieś ciasteczka z marchwi czy brukwi i sztuczne międu.

I dzieci się bawiły i śmiały, a ja już wiedziałam, że śliczna Fajgele z głósikiem jak skowronek na dodatniego Pirqueta, więc to już była sprawa tygodni. Ale śmiała się tak wesoło, że łyzy mi ciekły i dzieci wołały - "Pani się popłakała ze śmiechu". To była ta ostatnia Wielkanoc 1942 roku.

Tego samego dnia jeszcze miałam dyżur w bramie na interwencjach. Tam siadywałam wieczorami i takie różne panie doktorowe przynosiły "paczki", a ja miałam przed sobą informacje z oddziałów i mówiłam rodzinom o chorych, jak się czują i czy żyją. Bo na oddział tych ludzi oblatanych i zawoszonych nie można było wpuścić.

No i właśnie tego dnia przyszła 6-letnia Ryfka, która miała jeszcze w domu ojca, a w szpitalu brata starszego i trzyletnią siostrę. A matki już nie miała. Ta trzyletnia siostra zmarła. Ryfka - pamiętam, powiedziała - tę paczuszkę dla siostrzyczki zabierz, bo ona już nic żyje. A Ryfka podniosła na mnie te swoje czarne oczy, takie bez dna i powiedziała: - Bo jak człowiek musi uprać i sprzątnąć i ugotować, to nie starcza mu czasu i ja nie dopilnowałam dziecka. I ten człowieczek, okutany w łachmany, odwrócił się i odszedł starym, człapiącym krokiem.

Poszłam na parter po swoje ubranie. Zobaczyłam, że w hallu są ludzie i białe fartuchy. To znaczyło, że znów są ranni, bo na "wasze" stoi "Frankenstein". To był taki żandarm, który się bawił strzelaniem do dzieci, jak do wróbli. Bo jak te dzieci wracały z żebrów przez dziurę w murze do getta, to wsuwały się do dziury jedno za drugim. A on czekał, aż ustawi mu się kilkoro, 4-5 "sztuk" i wtedy strzelał i tym jednym strzałem załatwiał wszystkich. A jeżeli takie dziecko jeszcze jęczało, to przynosiliśmy je do nas do szpitala i przychodził tam dr Wilk, a czasem można było jeszcze odwiedzić je na Śliską na chirurgię, a czasem już nie było po co.

I tego dnia był taki mały chłopak, może osmioletni, może dziesięcioletni, i miał postrzał w wątroby i nic mu nie można było pomóc, a ja jakoś tak przypadkiem stanęłam przy nim. Wtedy akurat otworzył oczy i spojrzał na mnie i wyciągnął rączkę, w której ścisnął 50 groszy. Powiedział: "Daj mamie" - i umarł.

Więc taki był ten mój wielkanocny wieczór na Lesznie. Był koncert i mała Ryfka, co nie dopilnowała dziecka, i ten chłopiec, którego życie warte było 50 groszy. I nawet tych 50 groszy nie mogłam oddać jego mamie, bo gdzie jej miałam szukać. Nie wiem, co z nimi zrobiłam. A potem było już coraz bliżej do końca. Tylko jeszcze pamiętam sprzed akcji, jak Renia Frydman, która była ze mną z jednej szkoły i pracowała jako pomoc pielęgniarska, zachorowała na tyfus plamisty i leżała na I piętrze u dr. Makowera. Ciężko chorowała i przez parę dni nie mogła

oddać moczu. Aż raz jej się przyśniło, że Hela Keilson jako anioł "zrobiła za nią siusiu" i obudziła się i oddała mocz. A potem był już kwiecień i 51 rozstrzelanych, i coraz bliżej był ten 22 lipca, kiedy się zaczął koniec.

Ten cały okres to jest tak jakby jedna noc albo jakiś ogromny cień, który wszystko ogarnął i nic nie potrafię sobie przypomnieć po kolei. To są tylko obrazy, które się na siebie nakładają i wiem, że tak było, ale co i kiedy? I tak jak w narkotycznym śnie myśmy dalej prowadzili historie chorób, chociaż już nie było żadnego porządku, bo przyszedł do nas szpital ze Śliskiej i znów byliśmy wszyscy razem, tylko dzieci nie było tak dużo, bo żywe zabrali rodzice, oczywiście tylko te, które miały rodziców. Ale nie było już szpitala na Śliskiej i nie było małego getta. A Tosia Goliborska już była poza gettem. I nie wiem, jak to się stało, że przyszła do nas tego rana, kiedy poprzedniego wieczora zabrali moją Mamę i ja całą noc szukałam pomocy, a o 5-tej rano przyszedł na Umszlag dr Makower, który był lekarzem policyjnym i powiedział, że wszyscy z wieczora poszli prosto do wagonów. Więc ja poszłam normalnie do pracy i była Tosia, a potem stanęłyśmy w oknie, a właściwie przy framudze, bo do okien strzelali i patrzyłyśmy, jak ich prowadzą.

Więc przeszła dr Kfros z tym swoim nowonarodzonym synkiem na rękę i dr Lichtenbaumowa z ustami otwartymi jak do krzyku, i szli, i szli, z wózkami dziecęcymi i jakimiś dziwnymi rzeczami, jakieś kapelusze i płaszcze i garnki czy miski, i wciąż szli.

A potem nagle Renia Frydman złapała mnie za rękę i krzyknęła: - Moi rodzice! - i Broneczka - a ja powiedziałam jej: - Nie krzycz - bo żandarm spojrział w naszą stronę. I wciąż szli, szli i był taki upalny dzień 30 lipca, i była taka cisza w powietrzu, bo nie było wiatru i powietrze stało.

Z Leszna, tam po drugiej stronie, wyjechała rollwaga, na koźle siedział młody mężczyzna w niebieskiej koszuli, zapalił papierosa i takim luźnym, szerokim gestem odrzucił zapalnik.

W domu na Żelaznej, tam po drugiej stronie, na balkon wyszła kobieta w kwiecistym szlafroku i podlewała kwiatki w skrzynkach. I chyba widziała ten pochód, ale dalej podlewała kwiatki.

A po tej stronie szli i szli i nie było końca, i tam byli starzy z siwymi brodami i małe dzieci i kobiety w letnich sukienkach i w płaszczech, i kobiety w jesionkach i toboły, to wszystko na tę daleką drogę.

Tę rollwagę w słońcu i kobietę na balkonie czasem widuje we śnie.

Wcale nie wiem, jak ten dzień się skończył, tylko tak mi się zdaje, żeśmy się zegnali z Tosią.

A potem dalej przychodziliśmy do szpitala, często nocowaliśmy w szpitalu, bo ciągle łapali na kolejnych ulicach. A jak mnie wyrzucili z domu, bo tam się wprowadzili szczotkarze, to zabrałam pościel i zapakowałam w nią płyty i rosenthalowską porcelanę! To wszystko złożyłam w takim pokoiku na Lesznie, o który się wystarał jakoś Stefan i jak tam przyszłam po 3 dniach, to wszystko było potłuczone i pomieszane razem, porcelana i płyty i cała podłoga była tym zasłana na grubość kilku centymetrów, a na wierzchu była jeszcze wysypana kumaryna z resztek towarów Stefana. Ale mi było już zupełnie wszystko jedno. Tylko na drzwiach wisiała moja różowa nocna koszula i ja tę koszulę zabrałam i miałam ją ze sobą w szpitalu. I włożyłam ją wtedy, kiedy nie chciałam już więcej.

A potem jeszcze raz staliśmy tak we framudze okiennej i patrzyliśmy, jak Żelazną w stronę Nowolipek idzie Korczak ze swoimi dziećmi. Podobno to było 9 sierpnia, ale ja tego nie pamiętam, bo myśmy dni nie liczyli.

Tylko tak do końca chodziliśmy między dziećmi, badaliśmy i pisaliśmy o nich. I pamiętam, jak dr Margolisowa chwaliła mnie za porządnie prowadzone historie chorób, więc nie wiem teraz, czy to był śmiech czy płacz? Już jej nie zapytam.

Był taki dzień, kiedy kończyłam historie chorób za Michała Jaszuskiego, bo on i jego świeżo poślubiona żona Bronka już nie żyli, a on się z nią ożenił, bo mówili, że jego ausweiss chroni i jego i ją. A ja już przedtem czasem pisałam za niego, bo on tego nie znosił i mówił, że to głupota. A myśmy myśleli, że jak te historie chorób zostaną, to po wojnie ktoś je odnajdzie i będzie materiał dowodowy dla historii.

A potem już prawie nic nie pamiętam. Bo przyszli Niemcy i wywieźli dzieci na Umszlag. Przenieśli szpital. A Naczelnaj powiedział, że ma przeprowadzić redukcję personelu. A ja wiedziałam, że tam z nią jest Arik i pomyślałam, że mnie ta redukcja

nie dotyczy, a jednocześnie pomyślałam, że mnie przecież jest zupełnie wszystko jedno, jak dzieci zabrali. Tylko myślałam o tym, że trzeba, żeby wszystko było w porządku, więc usiadłam w hallu i kończyłam dokumentację, żeby ci, co pójdą na Stawki wiedzieli, co i jak. A potem poszłam do dyżurki i przebrałam się w nocną koszulę. I to jest wszystko, co pamiętam o szpitalu na Lesznie 81.

Nazwiska, które pamiętam

Komisaryczny dyrektor szpitala - dr Wacław Skoneczny /zmarł po wojnie/  
Lekarz Naczelny - dr Anna Brande-Hellerowa /zginęła w kwietniu 1943 r./  
Dyr. administracyjny - Henryk Kroszczor /zmarł po wojnie/  
Kier. Kancelarii - Regina Goldmanowa /zmarła po wojnie/  
Pracownica admin. - p. Maria /?/ siostra p. Goldmanowej /zginęła w czasie wojny/  
Sekretarka - Bronisława Feinmesser /żyje w USA/  
"Marysia" Warmanowa  
Prac. Księgowości - p. Sachs - wdowa po lekarzu /zginęła/  
Intendent - Józef Ferszt /zginął na Majdanku/  
Pielęgniarka Przełożona - Debora Keilson /rozstrzelana w Otwocku w 1943 r./  
Pielęgniarka Gospodarcza - Tenenbaumowa /?/ /otrzymała się, zostawiając swój numerek życia córce/  
Kier. Kuchni - Hodesowa /przeżyła, zmarła w USA/  
Dr Lichtenbaumowa - ordynator oddziału wewnętrzznego /zginęła w Treblince/  
Dr Efros - lekarz /zginęła w Treblince/  
Dr Fedentrumpf - ordynator oddziału zakaźnego /zginął w Treblince/  
Dr Helena Keilson - /przeżyła obozy, żyje w Szwecji/  
Dr Anna Margolisowa - ordynator oddziału gruźliczego /przeżyła/  
Dr Jerzy Rotbalsam - asystent oddziału wewnętrzznego /przeżył/  
Dr Zofia Frahter - /otrzymała się na Umszlagu/  
Dr Wilk - ordynator chirurgii /przeżył, wyjechał do Szwecji/  
Dr Wilkowa - konsultant okulistyczny /przeżyła/  
Dr Leneman - asystent chirurgii /zginął/  
Dr Lewin - laryngolog /przeżył/  
Dr Maria Folman - asystent oddziału durowego /zginęła w Treblince/  
Dr Luba Higher /?/ - lekarz /zginęła w Treblince/  
Teodozja Goliborska - Kier. laboratorium /przeżyła, żyje w Australii/  
Fajga Ferszt - laborantka /zginęła na Majdanku/  
Dr Michał Jaszuski - asystent oddziału wewnętrzznego na Lesznie /zginął/  
Prof. Hirszfildowa - ordynator oddziału na Lesznie /przeżyła/  
Dr Makower - oddz. na Lesznie /przeżył/  
Sara Rubni - pielęgniarka oddz. durowego na Śliskiej /zginęła/  
Renia Frydman - Zosia Skraszewska /przeżyła/  
Mirka Kleniec - piel. sali operacyjnej /zginęła/  
Lilka Wagner-Lewnowa - pielęgniarka /przeżyła/  
Dr Kachane - asyst. oddz. zakaźnego /zmarła po wojnie/  
Marek Edelman - goniec /przeżył/  
Adina Sz wajner - stażystka /przeżyła/

---

Kwartalnik Społecznej Komisji Zdrowia

Druk: Niezależna Oficyna Wydawnicza

Cena 90 zł